MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 14. WARSZAWA, 19 MARCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

KRYZYS DOLARA

PIERWSZE OBJAWY osłabienia dolara ukazały się na jesieni roku 1931-go. Już wówczas było rzeczą jasną, że za powód bezpośredni zachwiania się *prestige*'u pieniądza Stanów Zjednoczonych należy uważać nadużycie kredytu w gospodarce amerykańskiej. Przyczyny tkwiły oczywiście głębiej, były nietylko natury ekonomicznej, lecz także politycznej i moralnej. Ażeby je wyłożyć, trzebaby napisać cały tom o przesileniu całego okresu cywilizacyjnego w życiu ludów rasy białej.

Trzymając się wszakże zagadnień bliższych i aktualnych, trzeba stwierdzić, że fakt „nadużycia kredytu" wyjaśnia bardzo wiele. Stany Zjednoczone weszły po wojnie w okres bardzo szybkiego wzrostu dobrobytu, owej już dziś osławionej *„prosperity"*. Gdy prezydent Hoover obejmował władzę, zdawało się, że nic nie zamąci pomyślnego rozwoju gospodarki i finansów „wielkiej Demokracji amerykańskiej". Wzmagało się szybko spożycie, rósł aparat produkujący, rozwijał się handel. Dla podtrzymania tego potrójnego procesu trzeba było coraz więcej pieniędzy — zadowoleniu tej potrzeby służyła rozbudowa kredytu. W ośrodku operacyj kredytowych stały banki, które nietylko pośredniczyły w obrocie pieniężnym, lecz pomnażały zasób środków obiegowych przez operacje wyrównywające i czeki.

Popełniono jednak zasadniczą omyłkę, przypuszczając, że wzrost spożycia, a przez to produkcji i handlu jest nieograniczony — i to zarówno w Stanach, jak i w innych krajach, które były odbiorcami wytworów rolnictwa i przemysłu amerykańskiego. Omyłka ta ujawniła się właśnie w r. 1931 pod postacią „kryzysu gospodarczego". Zaczęły spadać ceny płodów rolniczych, zaczęły maleć obroty handlowe, a przemysł musiał ograniczać swą wytwórczość. To spowodowało z konieczności unieruchomienie kredytów, które banki dały rolnikom, przemysłowcom i kupcom. Zaczęto mówić o kredytów tych „zamarznięciu". Banki znalazły się w trudnem położeniu, bo z jednej strony miały do czynienia z tymi, co pieniądze złożyli w ich kasach na krótkie terminy, z drugiej zaś dłużników, którym pieniądze te dały, a którzy zwracać ich w oznaczonych terminach nie mogli.

W tej trudnej sytuacji przyszedł bankom z pomocą rząd Stanów Zjednoczonych, powiększając ilość pieniądza w obiegu i dając bankom kredyty państwowe. Mamy jeszcze w świeżej pamięci zarówno nowe ustawy o pokryciu pieniędzy, emitowanych przez *Federal Reserve Banks*, oraz powołanie do życia specjalnej instytucji, mającej za cel danie bankom do dyspozycji nowych kredytów. Ekonomiści ostrożni i przezorni (zwłaszcza francuscy) nazwali to i n f l a c j ą k r e d y t o w ą i przestrzegali, że stać się ona może wstępem do inflacji pieniężnej. Bo istotnie: chorobę, której głównym powodem było nadmierne używanie kredytu, postanowiono leczyć, wzmacniając dalej kredyty, czyli potęgując samej choroby przyczynę.

To, co się obecnie dzieje w Stanach Zjednoczonych, jest — niestety — potwierdzeniem obaw tych wszystkich, którzy przepowiadali, że inflacja kredytowa musi doprowadzić do inflacji pieniężnej.

W wywołaniu nowego załamania się odegrały rolę decydującą dwa momenty: odpływ złota zagranicę i do kas ludzi prywatnych oraz załamanie się zaufania publiczności w stosunku do banków. Dopóki obywatele Stanów Zjednoczonych nie mieli żadnych obaw co do swoich kapitałów, złożonych w bankach, dopóty „zamrożone" kredyty, udzielone przez te banki rolnictwu, przemysłowi i handlowi, nie naruszały równowagi finansowej. Gdy jednak zaczęły się zjawiać obawy, gdy wśród tych, co mieli swe kapitały w bankach, wynikła panika, gdy zaczęto wycofywać pieniądze, gdy zaczęto za dolary papierowe kupować złoto, wówczas musiał nastąpić krach bankowy, bo pieniądze, złożone na krótki termin, są „zamarznięte" i banki ich wycofać nie mogą.

Ogłoszono wobec tego „święta bankowe", to znaczy pozwolono bankom zawiesić wypłaty na określony okres czasu. To wszakże daje tylko kilka czy kilkanaście dni spokoju, lecz nie rozwiązuje sprawy. Bo po upływie owych „świąt" trudności stają w całej rozciągłości wobec banków i wobec rządu.

I są dwie drogi wyjścia: albo pójść na dalszą inflację, tym razem już nie kredytową, lecz pieniężną, albo też pogodzić się z załamaniem większości banków. Droga pierwsza jest o wiele łatwiejsza, lecz prowadzi nie do uzdrowienia, ale do przewleczenia choroby; wejście na drogę drugą sprowadziłoby odrazu wielkie trudności, zaostrzyłoby kryzys, spowodowałoby wzburzenie opinji, lecz byłoby radykalnem usunięciem tych właśnie przyczyn, które powodują katastrofę finansową w Stanach Zjednoczonych. Dlatego to zarysowywuje się niebezpieczeństwo tego, że rząd Stanów Zjednoczonych obierze drogę dalszej inflacji kredytowej, która już dziś musi doprowadzić do inflacji pieniężnej.

Trzeba stwierdzić jednak, że są w Stanach Zjednoczonych czynniki, które przeciwstawiają się z całą stanowczością inflacji i oderwaniu dolara od złota, rozumieją bowiem doskonale, że od stałości i mocy dolara zależy pozycja Stanów na terenie międzynarodowym. Chodzi wszak nietylko o dolara, jako o powszechny miernik wartości, co daje olbrzymie korzyści finansowe i gospodarcze Ameryce, lecz także o to, że mocny dolar jest wyrazem i narzędziem potęgi światowej Stanów Zjednoczonych. Dlatego to można twierdzić, że przyszłość dolara jest zagadnieniem, wykraczającem daleko poza sprawy finansowe i gospodarcze świata; jest to zagadnienie nawskroś polityczne. Jeśliby dolar stracił swoją dotychczasową pozycję i swój dotychczasowy *prestige*, to równocześnie tracą Stany Zjednoczone wpływ na rozwój polityki międzynarodowej, co dałoby się odczuć nietylko nad Oceanem Spokojnym i w przebiegu konfliktu japońsko-chińskiego, lecz także w życiu Europy.

Dalecy jesteśmy od przepowiadania zmierzchu sił i znaczenia Stanów Zjednoczonych. Państwo to jest dopiero na początku swej karjery dziejowej, nie wytworzył się jeszcze naród z zamieszkującej go ludności. Wojna przyczyniła się walnie do zjednoczenia moralnego społeczności północno-amerykańskiej; rozpoczynający się obecnie kryzys będzie z pewnością czynnikiem głębokiego przeobrażenia moralnego. Spodziewać się jednak należy, że na czas tego właśnie przeobrażenia będą się musiały Stany Zjednoczone zająć swemi własnemi sprawami, że zamkną się bardziej w sobie, że zmniejszy się przeto ich waga na terenie międzynarodowym.

Nie będą wyjątkiem w społeczności narodów. Coraz bardziej się ujawnia to, że narody są zmuszone do zwrócania swego wzroku nawewnątrz, że zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak i politycznej, rozpoczyna się okres nowy — okres samowystarczalności.

STANISŁAW KOZICKI

W OBRONIE PRZYWILEJU

ZNISZCZENIE autonomji uniwersyteckiej jest nietylko zniszczeniem, jak to niejednokrotnie podnoszono, tradycji wielu wieków, wysokiego poziomu nauki, niezależności studjów naukowych od rządzącej partji. Jest ponadto zniszczeniem czegoś więcej. Czego, to określił żyd Szaja Stupnicki, domagając się zniesienia samorządu wyższych uczelni. Wolność akademicka, jego zdaniem, „nie jest potrzebna w krajach o wolności konstytucyjnej. Ten przywilej jest pozostałością średniowiecza i staje się szkodliwym dla wolnego społeczeństwa“.

Pomijając zagadnienie szczerości tego wywodu, nie można mu odmówić pewnej konsekwencji. W państwie naszem wszelka władza, przynajmniej teoretycznie, wyrasta jak z jednego pnia, z odbywających się co lat kilka pięcioprzymiotnikowych wyborów. Kto w państwie nie jest wybrany przez powszechne głosowanie, ten jest przynajmniej—mianowany przez mianowanego, przez wybranego przez wybranych. A przy samorządzie akademickim decydująca jest przecież kooptacja. Istotnem źródłem immunitetu uniwersyteckiego jest nietyle ustawa, co jeszcze akt Władysława Jagiełły, który przecież był typowym przywilejem.

A więc przywilej. Słowo to pogardliwie brzmi w ustach Stupnickich i w ustach przeciętnego człowieka, wychowanego w ubiegłym wieku. Przywilej w ich pojęciu, to albo krzywda społeczna („jakieś przywileje!“), albo śmieszny zwyczaj („ten lord angielski, co zamiast podatków daje królowi w zimie dwie róże“).

A przecież, jedna z najlepszych instytucyj polskich — autonomja uniwersytecka jest upowszechnionym przywilejem akademji krakowskiej. Ci, którzy z pogardą patrzą na przywilej („przeżytek średniowiecza“), nie zastanawiają się, że przywilej jest ojcem nowoczesnego państwa. Drogą nadawania i rozszerzania przywilejów, z pierwotnego, absolutnego państwa doszliśmy do wolności obywatelskiej, do przedstawicielstwa narodowego, do demokracji politycznej. Gdyby nie było w dawnej Polsce immunitetów, nie byłoby i sejmów.

Nasz europejski pogląd na państwo i społeczeństwo, nasza spójnia narodowa, to, słowem, co nas różni najbardziej od cywilizacyj wschodnich, wyrosło właśnie na dwóch podstawach — na niezależności Kościoła od państwa i na przywileju. Że te rzeczy są obce dla żydów, to jasne, ale dlaczego i my sami o nich nie pamiętamy?

Konstytucja demokratyczna jest przywilejem, rozszerzonym do granic możliwości, na cały ogół obywateli kraju. Konstytucja w rozwoju prawnym społeczeństw naszej cywilizacji jest ostatecznem zwycięstwem przywileju, a zarazem jego śmiercią.

Całe państwo zostało objęte jednym przywilejem i przywilej się skończył. Ale, w dalszej konsekwencji, wraz z przywilejem skończyło się co innego. Współczesne państwo wprowadziło równość obywateli wobec prawa, a jednocześnie równość praw wobec innych praw. Kto zdobędzie większość w wyborach, ma na kilka lat władzę absolutną. Niema obowiązku, któregoby nie mógł nałożyć na obywateli i niema prawa, któregoby nie mógł zmienić określoną dla danego wypadku większością [1]).

Absolutna równość ludzi pozwala na zamienienie ich w niewolników. Przecież większością jednego głosu przypadkowej liczby posłów można

[1]) Jest coprawda jedna grupa obywateli uprzywilejowanych w Polsce. Jeżeliby np. chciano odbyć wybory do rady gminnej w Psiej Wólce w sobotę, trzebaby przedtem wymówić traktat o „mniejszościach narodowych“.

np. znieść dotychczasowe prawo spadkowe, a jedyną uchwałą, wymagającą $^{2}/_{3}$ głosów, jest zmiana konstytucji.

Równość praw doprowadza do bezprawia. Bo skoro można każde prawo jednakowo łatwo zmienić, to się zmienia je co parę miesięcy, wydaje się coraz nowe i w powodzi ustaw, rozporządzeń i okólników tonie prawo.

Słowem dziś, mając władzę, można każdego w każdej chwili związać każdem prawem. Wróciliśmy więc do punktu wyjścia, do władzy absolutnej, tej z przed pierwszych przywilejów. Ze śmiercią przywileju umarła istotna wolność. Bo prawdziwa wolność istnieje wtedy, jeżeli nikomu się do moich, określonych ścisłemi granicami, spraw nie wolno wtrącać. Jeżeli natomiast wolność polega na tem, że, gdy będę silniejszy, to zrobię ze wszystkimi, co mi się podoba, a gdy będę słabszy, to ze mną zrobią, co im się będzie podobało to taka wolność, wolność liberalna, jest raczej fikcją, szkodliwą i złośliwą.

Bardzo to ładnie, może ktoś powiedzieć, zachowajmy jako piękny przeżytek przywilej akademicki, ale przecież nie będziemy uznawali w XX-ym wieku instytucji przywileju!

Dlaczegóżby nie? Oczywiście, nie wznowimy przywileju w jego średniowiecznej formie, ale wznowienie zasady przywileju, w pewnym sensie, wydaje się i w dzisiejszej epoce potrzebne.

Najodrębniejszym bodaj rysem młodego pokolenia polskiego jest dążność do hierarchicznego uporządkowania życia. Jeżeli wprowadza się dobrowolnie przyjętą hierarchję politycznej organizacji narodu, jeżeli dąży się do ułożenia hierarchji celów, czego równie silnym wyrazem w zakresie zasadniczego poglądu na świat jest religijność młodego pokolenia, jak np. w zakresie polityki wysuwanie kwestji żydowskiej przed wszelkie inne, choćby przed porachunki z „sanacją“, to trzeba z tego wyciągnąć konsekwencje i dążyć także do hierarchji praw.

Musi być pewna ilość praw i pewna ilość instytucyj trwałych, trwalszych i trudniej podlegających zmianom, niż inne.

Muszą być prawa uprzywilejowane i instytucje uprzywilejowane.

Uprzywilejowana musi być w państwie polskiem polskość.

Uprzywilejowany musi być kodeks cywilny w porównaniu z wszelkiem innem prawem prywatnem. Pod pewnemi względami uprzywilejowane musi być wojsko i uprzywilejowana być musi nauka.

I wreszcie tylko drogą przywileju rozwiązana być może sprawa samorządu w szerokiem tego słowa znaczeniu.

Współczesne państwo cierpi na arytmomanję. Każda jednostka jest równa. Różnicę może stanowić ilość jednostek [2]. Więc Gniezno, Będzin i Pińsk, ponieważ mają podobną ilość mieszkańców, mają mieć jednakowy samorząd. Jednakowy samorząd ma też mieć szkoła powszechna i uniwersytet, gmina wiejska w Poznańskiem i na Polesiu, związek zawodowy i Kościół.

Otóż wyjściem byłoby tutaj nadawanie statutu samorządowego każdej instytucji, związkowi, miastu, województwu na zasadzie osobnego przywileju. I taka hierarchja organizacyj bardziej będzie zespalać, niż pozorna równość.

Dlatego zacofaniem nie jest przywilej akademicki. Zacofaniem jest znoszenie autonomji, tak samo, jak „scalanie“ ubezpieczeń, „unifikacja“ samorządu, „jednolita“ ustawa szkolna.

Podporządkowywanie wyższych uczelni administracji nie jest też bynajmniej postępowym „faszyzmem“. Jest to konsekwencja starego „demo-liberalizmu“.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

---

[2]) Rozwija ten temat niemiecka książka Ferd. Frieda „Koniec kapitalizmu“. Opisując objawy tej manji ilościowej w życiu państwowem, pisze autor m. in.: „Naszą dewizą jest liberalizm i demokracja. Równość polityczna jest równością jednego feniga z innym fenigiem; wolność polityczna jest wolnością jakby obrotu pieniężnego, wymienialnością“.

KRYZYS STANU ŚREDNIEGO W NIEMCZECH

WKRACZAMY w nowy rok pod znakiem rosnących groźnych konfliktów politycznych, socjalnych i gospodarczych, wśród których w stosunkach i europejskich centralne miejsce zajmuje dziś zagadnienie niemieckie.

Dla lepszego zrozumienia źródeł głębokiego kryzysu, jaki przechodzą Niemcy dzisiejsze, może dopomóc w niemałym stopniu zapoznanie się chociażby w ogólnym zarysie, z ich dzisiejszą strukturą socjalną. Właśnie na to zagadnienie rzuca ostre, jaskrawe światło wydana w roku ubiegłym książka publicysty niemieckiego O. Frieda[1]). Zawiera ona, abstrahując zresztą od poglądów autora na obecne przesilenie, nacechowanych dużym radykalizmem społecznym — nader ciekawą analizę obecnych stosunków społecznych w Niemczech.

Z zestawienia przytoczonych przezeń faktów i cyfr statystycznych rysuje się wyraziście przedewszystkiem znamienny fakt — zaniku stanu średniego w Niemczech. Proces ten posunął się dalej, niż powszechnie się mniema. Na ogólną ilość $32^{1}/_{2}$ miljona zawodowo czynnej ludności Rzeszy niemieckiej około 29 miljonów, a zatem 90% posiada dziś mniej, niż 200 mk. niem. miesięcznego dochodu na głowę, t. zw. warstwa średnia — zarabiająca od 200 do 3000 mk. miesięcznie stanowi — $3^{1}/_{2}$ miljona — a więc 10% ludności czynnej zawodowo, wszystkie dochody, wynoszące ponad 3000 m. miesięcznie — obejmuje pozostała, ilościowo znikoma warstwa — licząca tylko 30.000 osób. Tymczasem np. w Anglji, na ogólną liczbę $22^{1}/_{2}$ miljonów ludności, zawodowo czynnej, analogiczny mały dochód — do 200 mk. posiada 75%, z dochodów zaś t. zw. średnich korzysta 25% ludności zarobkującej (w Niemczech tylko 10%). A więc warstwa średnia, ta największa rękojmia równowagi społecznej i politycznej, — w Niemczech dzisiejszych jest dwukrotnie słabsza w stosunku procentowym do reszty społeczeństwa, niż w Anglji.

Ciekawe są również stosunki majątkowe: na ogólną ilość 65 miljonów obywateli w Niemczech, majątek, wynoszący ponad 5000 mk. (która to suma jest granicą minimalną przy podatku majątkowym) — posiada około $2^{1}/_{2}$ miljona osób — t. j. około 4%,

---

[1]) O. Fried *„Das Ende des Kapitalismus“*.

pozostała masa, wynosząca 96% ogółu ludności, nie posiada minimalnego majątku, podlegającego opodatkowaniu, winna być więc właściwie zaliczona do sfer „nieposiadających".

Wyniki szczegółowej analizy statystycznej poszczególnych kategoryj dochodów i grup majątkowych w społeczeństwie niemieckiem doprowadzają autora do następujących rezultatów syntetycznych:

Ludność	warstwy społeczne	udział w bogactwie narodowym (majątki i dochody)
93,6%	nieposiadające	40%
6,25%	średnie	34%
0,15%	zamożne	26%

Jak wynikałoby z tych liczb — Niemcy dzisiejsze zrealizowały w większym stopniu, niż inne kraje, schemat marksowski zróżnicowania gospodarczego społeczeństwa na dwa przeciwległe bieguny, ułatwiający drogę do eksperymentów socjalizacji (chociażby ubranej w formę t. zw. socjalizmu państwowego).

Obecna polityka socjalna i system podatkowy Rzeszy, jak również polityka wielkich kartelów przemysłowych podcinają dalej egzystencję małych i średnich warsztatów.

Wśród sfer wielkokapitalistycznych Niemiec autor odróżnia trzy główne grupy: wielkich właścicieli ziemskich, przemysłowców, oraz sfery finansowo-giełdowe (tudzież kupieckie). Największe indywidualne majątki skoncentrowane są w rękach pierwszej grupy (na pierwszem miejscu figuruje b. cesarz, Wilhelm Hohenzollern, którego dobra szacuje się na 200 miljonów mk.); połączoną potęgę rolnictwa i przemysłu reprezentują m. in. fortuny magnatów górnośląskich. Wśród drugiej, znacznie liczniejszej, grupy — wielkich przemysłowców, (w której zaszły w latach powojennych duże zmiany) — nie spotykamy poszczególnych tak wielkich fortun, rozporządza ona jednak naogół niemniejszą sumą bogactwa narodowego. Grupą trzecią, najliczniejszą i najruchliwszą, posiadającą największe wpływy (aczkolwiek majątki są tu bardziej rozdrobnione, niż w dwu pierwszych), są sfery finansowo-bankowe w Niemczech. Natomiast zaobserwować się daje pewien upadek znaczenia warstwy kupieckiej; stare, patrycjuszowskie rodziny kupieckie, sięgające tradycjami parę stuleci wstecz, likwidują w ostatnich latach swój stan posiadania pod naciskiem anonimowego kapitału.

W życiu przemysłowem Niemiec, równolegle z zanikiem przedsiębiorczości indywidualnej, obserwujemy ogromny rozrost warstwy funkcjonarjuszów gospodarczych różnych kategoryj, biurokratyzację przedsiębiorstw przemysłowych, do czego wielce przyczynia się powszechne wprowadzanie formy akcyjnej.

Tak wygląda oblicze socjalne Niemiec dzisiejszych w zwierciadle cytowanej publikacji, podkreślającej specjalnie coprawda, ostre kontury, niemniej operującej materjałem faktycznym.

STANISŁAW MIKLASZEWSKI

PAŃSTWOWOŚĆ A NARODOWOŚĆ

(NA MARGINESIE UWAG PEDAGOGA ŻYDOWSKIEGO)

W JEDNYM z przedostatnich numerów „Zrębu" ukazał się artykuł p. Zeligmana, kierownika szkoły mieszanej polsko-żydowskiej w Białymstoku, który warto przeczytać i nad którym warto się zastanowić. Artykuł—obnażający, mimowoli może, niedomówienie w tych żywotnych i zasadniczych zagadnieniach, na które należy patrzeć otwartemi oczyma.

Tematem artykułu jest wychowanie obywatela z „mniejszości narodowych" na kresach północno-wschodnich, przy tej sposobności jednak rozwija autor swoje poglądy na państwowość.

Poświęcając młodzieży niemieckiej i rosyjskiej krótki jedynie ustęp, zajmuje się obszernie kwestją młodzieży żydowskiej.

Żydzi, powiada, nie są z natury elementem antypaństwowym i można ich wychować na lojalnych obywateli państwa, czego właśnie dokazać winna szkoła mieszana. Jeżeli warstwa robotnicza żydowska „znajduje się dziś jeszcze pod wpływami demagogji bolszewickiej i orjentuje się jeszcze dotychczas na Wschód", jeżeli żydowskie mieszczaństwo kresowe przybrało właśnie wszystkie cechy mniejszości narodowej i posyła dzieci najchętniej do szkół hebrajskich lub żargonowych, pomimo że nie dają one praw państwowych, unika zaś posyłania dzieci do szkół mieszanych, to natomiast inteligencja żydowska, wychowywana dotychczas na kulturze rosyjskiej, chce dać dzieciom wykształcenie i wychowanie polskie, aby ułatwić im przystosowywanie się do państwowości polskiej. Dzieci tej właśnie warstwy napełniają mieszane, polsko-żydowskie szkoły.

Celem wychowania obywatelskiego jest zaszczepienie młodzieży idei państwowej, nie abstrakcyjnej idei państwowości, ale konkretnej idei państwowej polskiej. Konkretna państwowość musi mieć konkretną treść, realne cechy. Oprócz terytorjum, ludności, władzy, takiemi cechami są język państwowy i kultura państwowa. W państwie polskiem, które nie jest jakimś tworem sztucznym, ale rozwijało się historycznie, nie może być innego języka państwowego, niż język polski, i innej kultury państwowej, niż kultura polska, która, zarówno jak język, stanie się kiedyś, zdaniem p. Zeligmana, wspólną dla wszystkich obywateli.

Skoro młodzież żydowska, powiada autor, nie posiada, bo posiadać nie może, uczuć narodowych polskich, należy nietylko w przemówieniach okolicznościowych, z okazji przepisanych uroczystości, ale w życiu codziennem, systematycznie i z dnia na dzień, wpajać jej przeświadczenie, że interes państwa pokrywa się z jej własnym interesem. Mówić np. dzieciom żydowskim o Pomorzu, jako o odwiecznej ziemi polskiej, lub też o pełnych chwały walkach z Krzyżakami, jest to uderzyć w próżnię i czynić rzecz bezcelową. „Co innego, jeśli się im wyjaśni, dlaczego państwu polskiemu potrzebny jest dostęp do morza i jak związane z jego utratą podrożenie niektórych artykułów pierwszej potrzeby, zanik pewnych gałęzi handlu, wzmożenie się bezrobocia i przesilenie gospodarcze odbije się na inte-

resach każdego białostockiego żyda“. To dziecko żydowskie zrozumie i odczuje. Stronę emocjonalną uwzględnić należy tam tylko, gdzie zależć to może oddźwięk. Przedstawianie np. bezprawia, ucisku i pogromów w Rosji w zestawieniu z demokratycznym ustrojem Polski może do tej młodzieży przemówić, wykazywanie obłudy sowieckiego raju może zniechęcić ją do bolszewizmu i t. p.

Spójrzmy jednak na całość poglądów autora z punktu widzenia tych, co są „dobrymi Polakami“, jakimi podług jego własnych słów nie staną się nigdy żydzi, o ile nie wyrzekną się swej narodowości w pełnem znaczeniu tego słowa.

P. Zeligman mówi słusznie w swym artykule, że moment narodowy jest to coś, czego nie można zniweczyć. Istotnie bowiem, jeżeli życie jest to wcielanie jakiejś części naszego ja w otaczającą nas rzeczywistość, ktoś, dla kogo, dajmy na to, polskość jest składową, nieodłączną cechą jego ja, pragnie rozszerzać tę polskość w ten sam sposób, w jaki pragnie żyć, i szerzy ją przez to samo, że żyje. Gentile, twórca hasła „państwowości“ w życiu współczesnych Włoch, twierdzi, że nie istnieje najdrobniejszy nawet nasz czyn, żaden z naszych stanów, aż do snu i odpoczynku włącznie, który byłby z punktu widzenia narodowego obojętny. Można jednak, dodajmy, wzmocnić albo osłabić swoją narodowość, można, choć rzadko dokonywa się tego całkowicie w przeciąga życia jednego tylko człowieka, zamienić ją na inną. Można również chwilowo, będąc Polakiem, działać tak, jak działałby żyd, wcielać się zatem w tym wypadku w narodowość żydowską, i odwrotnie. Jeżeli jednak nawet będziemy uważać siebie za „międzynarodowych“ i w tym charakterze będziemy usiłowali działać, każdy nasz krok będzie zawsze albo pożyteczny dla pewnego narodu, albo dla pewnego narodu szkodliwy. W dzisiejszym układzie stosunków cywilizowanego świata, nie może jednostka stanąć poza narodem.

P. Zeligman chciałby, jak oświadcza, stać wyłącznie na stanowisku państwowem. I jednocześnie, zarówno w swych wystąpieniach na terenie szkoły, jak w swych teoretycznych poglądach na państwowość i narodowość, nie umie się swojej narodowości wyzbyć.

Obrazek z życia szkoły, który nam stawia przed oczami, jest pod tym względem bardzo charakterystyczny. Młodzież żydowska interpeluje go o *numerus clausus* na uniwersytetach i przytacza fakt nie przyjęcia do któregoś z uniwersytetów abiturjentów żydów, a przyjęcia mniej zdolnych abiturjentów Polaków. Autor - wychowawca ma w tym momencie doskonałą sposobność do poruszenia wobec swych wychowanków sprawy, która mu leży na sercu, a mianowicie do postawienia kwestji lojalności państwowej i obowiązków wobec państwa ze strony jego obywateli. Co bowiem należałoby w takim wypadku powiedzieć młodym obywatelom państwa polskiego, żydom? Należałoby przytoczyć im najbardziej znane i jaskrawe wystąpienia żydów przeciw interesom państwa polskiego w ciągu 14 lat jego powojennego istnienia i powiedzieć im, że tego rodzaju stanowisko wobec najżywotniejszych polskich spraw wywołuje wrogi stosunek do żydów, którego nie może wyrównać lojalność kilku jednostek, czy nawet całej jakiejś grupki. Tak wyglądałoby szczere i bezstronne ujęcie kwestji. P. Zeligman natomiast, jak sam wyznaje, jest zakłopotany, nie wie, co ma odpowiedzieć i ostatecznie zbywa uczniów mało przekonywającem, według własnych jego słów, bo niczego nie wyjaśniającem zdaniem o „nadużyciu czynników uniwersyteckich“. Jego narodowe żydowskie uczucia nie pozwoliły mu bowiem na zrozumienie i odczucie narodowego stanowiska polskiego, bez względu zatem na swoją chęć lojalności, przyczyn istniejącego stanu rzeczy dopatruje się w Polakach, nie w żydach, pomimo to, co sam pisał w swym artykule o żydowskich masach, ciążących na Wschód, które dla lojalności państwowej polskiej trzebaby dopiero wychować.

Weźmy teraz teoretyczne poglądy autora na państwowość i narodowość.

Wychowanie winno być państwowe, nie narodowe, powiada. Nie oznacza to, dodaje, że wychowanie narodowe jest *in abstracto* złe. Chwila jednak historyczna wymaga wzmocnienia młodego państwa, zespolenia go przez podkreślenie i uwypuklenie wszystkiego, co łączy, przez odsuwanie na plan dalszy czynników separujących.

Zdawałoby się, że nie istnieje rzecz, bardziej łącząca obywateli państwa polskiego, niż polskość, i że największem niebezpieczeństwem „dla młodego państwa polskiego“ byłoby osłabienie tej polskości, będącej jego cementem. Tymczasem autor powiada nam w dalszym ciągu: „Powiedzmy wprost, że państwowe jest to, co jednoczy obywateli, to zaś, co ich różni, co ich nawzajem odpycha, jeśli nie jest, to może stać się w danej chwili antypaństwowe“. I jako taką właśnie rzecz, która „jeśli nie jest, to stać się może w danej chwili antypaństwową“, wymienia narodowość. Dlatego należy narodowość „unieszkodliwić“.

W oczach autora narodowość jest rzeczą szkodliwą, bo jakkolwiek zapewniał nas, że pragnie wpoić w umysły żydów ideę państwa polskiego, to państwo, o którem myśli, jak się przekonywamy, ma być polskiem jedynie z nazwy i z języka. Zdanie o państwowej polskiej kulturze mogło wprowadzić początkowo pewną niejasność w tym względzie, kończąc jednak artykuł, nie mamy już co do tego wątpliwości: „Nastąpić musi rozdział narodowości od państwowości“, mówi p. Zeligman.

Gdybyśmy nawet odrzucili przytoczony pogląd Gentilego, że nie istnieje żaden nasz, najbardziej nawet indywidualny czyn, którym jednostka mogłaby stanąć poza sferą interesów narodowych, to w żadnym razie nie można patrzeć na działalność w zakresie państwowości, jak na jakieś wzniesienie się w abstrakcyjną, ponadnarodową dziedzinę. Każde posunięcie na terenie państwowym, bez względu na to, pod jakiem hasłem się odbywa, jest albo dodatnie z punktu widzenia narodowego interesu, albo szkodliwe, często dodatnie z punktu widzenia interesów jednej narodowości w państwie, ujemne z punktu widzenia innej. Twiedzenie zatem, że może istnieć jakaś działalność państwowa, którąby abstrahowała od narodowości, jest łudzeniem siebie albo innych.

Są to rzeczy tak proste i jasne, że nie wartoby o nich mówić, gdyby nie to, że rzuceniem hasła państwowości i przeciwstawieniem go „narodowości“ szerzy się w tych pojęciach zamęt.

Wiemy, że każde osłabienie żywiołu polskiego prowadzi do przesunięcia w układzie sił w państwie na korzyść najżywotniejszego i najenergiczniejszego z pozostałych czynników narodowościowych, t. j.

żydów. Państwo polskie, w którem nastąpiłby „rozdział narodowości od państwowości“, to w praktyce Judeo-Polska, o której słyszeliśmy już z ust żydów niejednokrotnie. Rzadko kiedy tylko utożsamiono z tem dążeniem tak wyraźnie „wychowanie państwowe“, mówiąc, czem może się ono stać w zamierzeniach poszczególnych jednostek czy grup.

Wystąpienia przeciw państwu narodowemu dyktuje zatem żydom ich własny interes narodowy. Dziś zwłaszcza, gdy bankrutuje w umysłach ukochana przez żydów zasada „równości“ obywateli, dzięki której, jak wiadomo, poczynili w ciągu XIX wieku tak wielkie polityczne zdobycze, żydzi iść muszą w tym kierunku tem silniej. Bankructwo bowiem tej zasady doprowadzić musi, zarówno u nas, jak gdzieindziej, do koncepcji, że ci, co są „dobrymi Polakami“, dobrymi Włochami, dobrymi Niemcami, dobrymi Rumunami, stanowią dla państwa element bardziej wartościowy, niż ci, co nigdy dobrymi Polakami, Włochami, Niemcami, Rumunami być nie potrafią. Ci, których wzruszy jedynie „podrożenie niektórych artykułów pierwszej potrzeby“, nie mogą wymagać, aby ich stawiano na równi z tymi, co przywiązanie do podstaw, na których się państwo opiera, mają we krwi. Dlatego właśnie rzucają dziś żydzi nowe hasło, pod którem można z państwem narodowem walczyć: rozdział narodowości od państwowości.

Państwowość, jak i każda inna teorja, przybiera w umysłach najrozmaitszych ludzi najrozmaitszą treść, w zależności od tego, co podkłada pod nią psychika danej jednostki. Twórcy teorji państwowości we Włoszech, Gentile i Mussolini, przeniknięci pragnieniem wzniesienia Włoch na wyższy stopień chwały i potęgi, utożsamiają państwowość z narodowością, rzucenie hasła państwowości oznacza dla nich wzmożenie tętna narodowego życia, wychowanie państwowe — to wychowanie dla celów i ideałów narodowych. P. Zeligman, który chciałby być lojalnym obywatelem państwa, wyznając to samo hasło, dochodzi do koncepcji państwowości, zgodnej z żydowskiemi uczuciami i korzystnej z żydowskiego punktu widzenia, ale będącej przekreśleniem istnienia państwa polskiego — jako państwa polskiego.

Ci, co głoszą zasadę państwowości i wychowania państwowego u nas, winni zadać sobie — i odpowiedzieć sobie uczciwie, sięgając aż do dna zagadnienia — na zapytanie: czy ich zasada państwowości pokrywa się z zasadą Gentilich i Mussolinich, czy z zasadą pp. Zeligmanów?

MARJA STECKA

ZATARG POLSKO-ŻYDOWSKI Z R. 1815

W SZÓSTYM zeszycie „Miesięcznika Żydowskiego“ (czerwiec, 1932 roku) ukazał się na naczelnem miejscu artykuł p. Romana Brandstaettera“ pod tytułem: „Wybryki antyżydowskie studentów uniwersytetu wileńskiego w r. 1815“. Zarówno sam temat, jak i wysoce oryginalny sposób przedstawienia „wybryków“ studenckich z pocz. XIX wieku zajął nas żywo i skłonił do bliższego rozejrzenia się w opisanym przez autora rozprawki zatargu polsko-żydowskim.

I

Jak wyglądał przebieg wileńskich „zajść antyżydowskich“ w oświetleniu p. Brandstaettera?

Dnia 8 października 1815 r. w święto Szałasów studenci, przechodząc obok ogrodu botanicznego, obrzucili kamieniami ustawione tam kuczki i — jak podaje autor rozprawki — dopuścili się „równocześnie karygodnych wystąpień przeciw Żydom. Najbardziej został wówczas poszkodowany Lejba Abramowicz Abelson, a syn jego dotkliwie obity. Wówczas Abelson — cytujemy ciągle dosłownie opowiadanie p. Br.[1]) — udał się ze skargą do X. Jundziłła; studenci, zorjentowawszy się w zamiarze poszkodowanego Żyda, rzucili się na niego, nie dopuścili go do profesora i wypchali siłą z sali wykładowej. Skoro X. St. B. Jundziłł, profesor botaniki, stanął w obronie Żydów, potępił ostro zajście i chciał na miejscu przeprowadzić śledztwo... studenci zachowali się niesfornie i nietaktownie, nie dopuszczając ogólnym wrzaskiem do jakiejkolwiek ingerencji ze strony profesora“. Prof. Jundziłł złożył w oddziale nauk fizyczno-matematycznych doniesienie z prośbą „o wczesne takowych swywoli powściągnienie, gdyż i w ogrodzie znaczne szkody już są poczynione i ławki szkolne... połamane“. Równocześnie poskarżył się Abelson i prosił o przeprowadzenie śledztwa „przeciw chuliganom“ (wyjaśniamy, że zwrotu tego użył nie dzierżawca młyna, Abelson, lecz historyk Brandstaetter).

Senat — wówczas zwany Rządem — uniwersytetu wileńskiego wyznaczył komisję dyscyplinarną, złożoną z dziekanów: ks. Józefa Mickiewicza i Szymona Malewskiego oraz adjunkta Andrzeja Justyna Lewickiego, która zbadała zajście i przesłała raport do Rządu Uniwersytetu.

Komisja stwierdziła, że głównymi uczestnikami akcji wybicia szyb w kuczce żydowskiej byli: bracia Józef i Izydor Mikulscy oraz Florjan Dzierdziejewski. Prócz tego za winnych zostali uznani, jak podaje autor artykułu, Walenty Wolf, Aleksander Sitko (właściwe nazwisko owego studenta brzmiało Estko, a nie Sitko, jak mylnie odczytał p. Br.), Marcin Dzierdziejewski, (Ignacy) Siesicki i Józef Przecławski.

„Rząd Uniwersytetu — pisze p. Br. — przyjął do wiadomości zapodania (!) komisji i stanął na stanowisku — Żydów. Nie przyjął zaś do wiadomości tłumaczenia się studentów, jakoby zostali sprowokowani przez Żydów, i wydalił Mikulskich i Fl. Dzierdziejewskiego na 3 miesiące z uniwersytetu, natomiast resztę oskarżonych obłożył ostremi upomnieniami. — Rząd uniwersytetu wyszedł z pięknego założenia, że tego rodzaju wybryki, szkodzą dobrej opinji wszechnicy wileńskiej, i że tu w Wilnie, w atmosferze wysokiej kultury i liberalizmu, wybryki takie nie powinny mieć miejsca... Jak więc widzimy — dodaje zadowolony p. Br. — antyżydowskie zajście w r. 1815-ym na uniwersytecie wileńskim było zasadniczo dość błahe i zostało szybko i sprężyście zlikwidowane“.

Powodem wydobycia pyłem przyprószonych aktów była, jak to nam tłumaczy pod koniec swej rozprawki autor, chęć udowodnienia — nie bez pew-

[1]) W ten sposób dla skrócenia w dalszym ciągu będziemy podawali nazwisko p. Brandstaettera.

nych aktualnych widoków — tezy, że studenci wileńscy pobili żydów, nie będąc przez nich sprowokowani i że „sąd uniwersytetu... nie dał wiary obronie studentów, (którzy zgodnie zeznali, że żydzi ich zaczepili, mówiąc „z naigrawaniem się“ o Polsce i „lżące słowa ruskie dodając“ — przyp. nasz) i oświadczył, że nadużywanie Imienia Rzeczypospolitej dla celów niskich i chuligańskich jest zbrodnią wobec Jej Majestatu“.

Oto wierny, naogół dosłownie za p. Br. podany, opis „zajść antyżydowskich“ w Wilnie z roku 1815.

II

Uważne odczytanie rozprawki o „wybrykach antyżydowskich“ studentów wileńskich zrodziło pierwsze nasze podejrzenia co do ścisłości naukowej p. Br.

Autor rozpoczyna swoją pieśń o biciu żydów z wysokiego tonu. Przechodzący obok ogrodu botanicznego studenci mieli obrzucić żydowskie „kuczki kamieniami, dopuszczając się równocześnie karygodnych wystąpień przeciw Żydom“, a syn Lejby Abelsona miał być „dotkliwie obity“. Tymczasem cytowane przez p. Br. dokumenty nie zawierają wcale wzmianek o obrzuceniu — kuczek — żydowskich kamieniami lecz jednej kuczki — Abelsona; nie znaleźliśmy również śladu „karygodnych wystąpień przeciw żydom“ (p. Br. z predylekcją używa liczby mnogiej zamiast pojedynczej). Syn Lejby Abelsona nie został „dotkliwie obity“ lecz uderzony raz jeden laską, jak to wyraźnie zeznał sam Abelson, a nawet laseczką, dokładniej „trzcinką winogronową cienką“, jak zeznali studenci. Strach ma, jak widzimy, wielkie oczy; p. Br. z jednego uderzenia zrobił zaraz „dotkliwe obicie“. Dalsze poważne zastrzeżenia budzi zestawienie zeznań studentów ze streszczeniami dokonanemi przez p. Br.

Odbiegają one tak dalece od faktycznej treści zeznań, że niepodobna przejść nad tem do porządku dziennego. Pan Br. pisze, że „Wincenty (pow. być Walenty) Wolf zeznał obciążająco dla Mikulskich i Dzierdziejewskiego, zaznaczając przytem, że żydzi akcję sprowokowali, naigrawając się z Polski. Otóż Wolf zeznał, że „widział jako żydziak młody wylazłszy z kuczki zaczął mówić: Polaki, gdzie wasza ojczyzna i t. d. — cytujemy dosłownie tekst zeznania, dołączony do raportu komisji dyscyplinarnej — i że wtedy Józef Mikulski rzucił kamieniem do żyda i wybił szybę w oknie kuczki“. Potem „żydzi przez most przebiegając porwali Florjana Dzierdziejewskiego za piersi i za ramię, w tem Mikulski Józef przybiegł, do którego, gdy jeden żydziak przyskoczył i zaczął naigrawać się. Mikulski wyciął go laseczką“. Jak widzimy Wolf kategorycznie stwierdził, że żydzi byli stroną zaczepną, że żydzi prowokowali. Czy można nazywać tego rodzaju zeznanie, „obciążającem dla Mikulskich i Dzierdziejewskiego“, łatwo osądzi sam czytelnik. „W tym duchu (t. j. obciążającym dla oskarżonych) zeznawał też — pisze p. Br. — Aleksander Estko, przyznając się równocześnie do bicia laską Żydów“. Po odczytaniu zeznania stud. Estki okazało się, że nigdzie niema ani cienia przyznania się do „bicia laską żydów“.

Twierdzenie to jest poprostu wytworem bujnej fantazji pomysłowego autora. Estko przyznał, że razem z innymi rzucał kamieniami w okno kuczki żydowskiej, o „biciu laską Żydów“ przez Estkę nigdzie niema żadnej wzmianki. Józef Becu zaś miał się przyznać „do bicia żydów, szyb, oraz do nakłaniania kolegów do dalszych wystąpień przeciw Żydom“. Znów relacja, która grzeszy właściwą p. Br. przesadą i niesumiennością. Józef Becu nie zeznawał wcale, że „bił Żydów“. Stwierdził jeno zgodnie z prawdą, że wypychał Żyda z sali i sieni. „Do dalszych wystąpień przeciw Żydom“ nie namawiał lecz radził, żeby „razem szli wszyscy i żydom nie dali się skrzywdzić, jeśliby ci napaść chcieli“.

Autor rozprawki nie ma, jak widać, ani krzty objektywności, naciąga jasne zeznania studentów do zgóry powziętych tez, przeinacza je dowolnie, byle czytelnik odniósł wrażenie, że studenci wileńscy „bili żydów“, robili „pogrom“.

Pod koniec swej pracy spostrzegł się zresztą sam autor i zrezygnował z wyolbrzymiania wileńskich „zajść antyżydowskich“ i uznał, że były „zasadniczo dość błahe“, że był to „stosunkowo nikły epizod“.

Osobna wzmianka należy się zeznaniom Franc. Malewskiego, syna rektora, jednego z przywódców Filomatów oraz Józefa Śniadeckiego, syna Jędrzeja, utrzymującego zażyłe stosunki z Filomatami (p. Archiwum Filomatów, część I. „Korespondencja 1815 — 1823“, wyd. J. Czubek, Kraków 1913). Obydwaj mieli „obciążyć zeznaniami swojemi Mikulskich i Fl. Dzierdziejewskiego“. Pan Br. chce w ten sposób wygrodzić Malewskiego i Śniadeckiego i odciąć ich od „chuliganów“, którzy rzekomo „bili żydów“. Jak było naprawdę? Franc. Malewski zeznał, że „nikogo do krzyczenia nie namawiał“ i że Mikulski Józef głośno wzywał, aby wszyscy mówili, że są winni.

Józef Śniadecki zaś „słyszał, jak Mikulscy i Dzierdziejewski Flor. drugich namawiali do tego (t. j. do krzyczenia) i sam nie krzyczał; zaczął był stukać ale wnet przestał na ostrzeżenie p. Becu“.

Zarówno Malewski, jak Śniadecki zeznawali zatem — i to trzeba było zaznaczyć — w sprawie zachowania się studentów w czasie lekcji, a nie zatargu z żydem Abelsonem. Są to dwie zgoła nie identyczne akcje. Nadto Śniadecki brał w stukaniu, jak to sam zeznał, udział, dodając, że „wnet przestał“.

Jeżeli zaś chodzi o stosunek Filomatów do żydów, warto przytoczyć głos Dionizego Chlewińskiego, zastępcy bibljotekarza Towarzystwa Filomatycznego, który wcale wyraźnie się w tej materji wypowiedział.

W „Uwagach nad pismem perjodycznem, czytanych na posiedzeniu naukowem wydziału II-go 19 marca 1820 r.“ (p. Archiwum Filomatów, część II, „Materjały do historji Towarzystwa Filomatów“, T. II, wydali Stan. Szpotański i Stan. Pietraszkiewiczówna, Kraków 1921, nakł. Polskiej Akademji Umiejętności) w ten sposób uzasadnia Chlewiński potrzebę poruszania na łamach pisma kwestji żydowskiej:

„Mówić o stanie naszego kraju tak ze względu bogactw narodowych, jako też obyczajów, przemilczyć żydów nie można, gdzie tylko bowiem przyjdzie na kraj nasz spojrzeć, nad jego stanem zastanowić (się)... zawsze temu musi towarzyszyć obraz klęsk, zdziałanych przez to bezecne plemię, co się niegdyś w gniewnej niebios porze na zgubę do naszej ziemi przeniosło“. Przeciwny jest dalej Chlewiński zbytniej łagodności Czackiego w stosunku do żydów i pisze, że „prócz środków przeszkadzających rozmnażaniu zbytniemu tego rodu, oraz wypędzenia ich zupełnego, czy razem czy powoli, inne wszystkie skutecznymi być nie mogą“. Wreszcie opisuje, jak szkodliwemi są żydzi dla rolnictwa,

przemysłu i handlu oraz stwierdza, że „żydzi zawsze będą żydami, jeżeli skuteczniejsze na nich nie wywrze się działanie".

Opinja Chlewińskiego o żydach nie daje, jak widzimy, podstaw do posądzania Filomatów o sprzyjanie żydom i nie upoważnia do odcinania Malewskiego i Śniadeckiego od reszty kolegów, uczestniczących w zatargu z żydem Abelsonem w r. 1815.

Sprowadzając zatem zajście między studentami Uniwersytetu Wileńskiego, a żydem Abelsonem do właściwych rozmiarów, należy przyjąć, że idący popołudniu na lekcję historji naturalnej studenci wybili kamieniami okna w kuczce żyda Abelsona, a syna jego, który groził i pod nosem kiwał studentowi J. Mikulskiemu, jak to zeznał Fl. Dzierdziejewski i sam Mikulski, ten ostatni uderzył laseczką trzcinową. Studenci zeznali, że żydzi ich zaczepili, mówiąc „z naigrawaniem się" o Polsce i Polakach i że po tej zaczepce dopiero rzucili kamieniem w kuczkę. Nie dosyć na tem. Jednego ze studentów, Florjana Dzierdziejewskiego, żydzi „porwali za piersi", jak to zeznał Al. Estko, Wal. Wolf, Józef Henszel, Józef Mikulski i sam Fl. Dzierdziejewski, a potem go spopychali, chcąc prowadzić do budnika. „Wtenczas — jak zeznał Estko — jeden z Mikulskich wyciął żyda laseczką". Następnie „żydzi, idący na skargę do profesora Jundziłła, byli — jak podaje raport komisji śledczej — wypychani i potrącani,... po lekcji był zamiar studentów wybicia żyda i że, gdy żyd został u profesora, przez studentów gromadnie zebranych okna w kuczce kamieniami do reszty zostały wybite i na dachu wielka część dachówki pobita".

Dodajmy nadto, że nietylko studenci twierdzili, iż zostali przez żydów sprowokowani, ale i komisja uniwersytecka przyznała, że „żydzi studentów łajali".

Tak mniejwięcej wyglądały „zajścia antyżydowskie" w Wilnie przedstawione na podstawie nietylko zeznań żyda Abelsona ale i studentów oraz raportu komisji, badającej „zajścia" z ramienia Rządu Uniwersytetu.

Przedstawienie zatargu przez p. Br. grzeszy zatem zbytnią przesadą i właściwym temu autorowi brakiem umiaru w ocenie zjawisk przez niego opisywanych. Na ten rys prac p. Br. zwrócił już uwagę prof. Pigoń w doskonałem studjum „Z ostatnich chwil A. Mickiewicza", drukowanem na łamach „Myśli Narodowej", a i prof. Handelsman, życzliwie usposobiony dla p. Br., wytknął mu skłonność do przesady, pisząc o „Legjonie żydowskim Ad. Mickiewicza": „Słabą stroną tej pracy jest uczynienie ze sprawy legjonu żydowskiego, jeżeli nie jedynej, to w każdym razie głównej troski Mickiewicza w czasie jego pobytu w Turcji. Tem oczywista nie była". (p. M. Handelsmana „Mickiewicz w latach 1853 — 1855", Warszawa, 1933).

III

Dążność do nadania większego rozgłosu drobnemu w gruncie rzeczy epizodowi z dziejów polsko żydowskich sporów zaznaczyła się już w trakcie badania sprawy w r. 1815. Usiłowano wówczas rozszerzyć krąg rzekomo pokrzywdzonych i dowieść, że obok Abelsona została również skrzywdzona niejaka Zuzanna Jansonowa. W zacytowanym przez siebie in extenso doniesieniu prof. Jundziłła opuścił przezorny p. Brandstaetter ustęp następujący: „Współcześnie z pokrzywdzeniem rzeczonego żyda (t. j. Abelsona — przyp. nasz) pokrzywdzili oraz obywatelkę Jansonową, która i ustnie o to się skarżyła i na piśmie skargę swą podała, takową skargę Jansonowej tu dołączam". Komisja wydelegowana dla przeprowadzenia śledztwa w sprawie wykroczeń studentów stwierdziła na pierwszej sesji w dn. 26 października 1815 r., że ścigać zamierza i krzywdzicieli Jansonowej.

I cóż się pokazało?

Próba przedstawienia wybicia szyb w kuczce Abelsona jako „pogromu" żydów w Wilnie spaliła na panewce.

Komisja w raporcie, przedstawionym władzom uniwersyteckim, wyłączyła sprawę Jansonowej, gdyż prośba jej „nie zawierała żadnego wyszczególnienia i wzywana do examinu nie stanęła ale przez syna oświadczyła, że w tym dniu, kiedy akcja była z żydem, żadnej krzywdy nie miała; lecz że pierwiej studenci z niej się naśmiewali, zaglądając w okna (co też i w examinach się potwierdziło)."

Prof. Jundziłł, jak widać, uległ sugestjom żydowskim i uwierzył, że Jansonowa została przez studentów skrzywdzona. Milczenie p. Br., który ani jednem słówkiem nie wspomniał w swej pracy o sprawie Jansonowej, jest bardzo wymowne.

(Dok. nast.) TADEUSZ BIELECKI

Z CYKLU „POWRÓT"

1. Z OKNA WAGONU

Jak wachlarza olbrzymiego skrzele,
Który się rozwija wciąż i ściele
Wkoło osi dalekiej niezmiernie:
Płyną wstecz złotawo szare ściernie,
Kędzierzawych dębów ciemna zieleń,
Dalej jar zakrętem rdzawym goły,
Nieruchome z sochą siwe woły,
Łąk wilgotnych plusz zielono-zgniły,
Cichych źródeł błyskotliwe żyły...
Przodem szary warkocz pary sunie
I roztapia się w ugorów runi,
W źródeł, łąk i ściern aksamicie,
I ucieka, ucieka, jak życie.

2. SERCE, SERCE...

Serce, serce znam twą ranę:
Żadne szczęście niespodziane
Tej tęsknoty wiecznej twojej
Nie nasyci, nie ukoi;

Gdy po zgonie głos anioła
Gdzieś do nieba Cię zawoła,
Będziesz tęsknić za mogiłą
I za snem, coś w grobie śniło.

1899 MAMERT WIKSZEMSKI

[Ponieważ (jak wyczytałem w dziennikach) miłośnicy poezji pragną zebrać w jedną całość utwory utalentowanego poety, Mamerta Wikszemskiego, ogłaszam parę z nich, jakie pozostały w tece „Głosu" po jego zamknięciu. Nie mogę zbadać, czy autor nie wydrukował ich gdzieindziej, jeśli miał odpisy. Z. W.]

NA WIDOWNI

Wiara w dolara. — Powaga jej kapłanów. — Amerykanizm i sprawdzian jego wartości. — Przestarzały futuryzm. — Pochwała maszyny. — Stanowisko prawdziwie nowoczesne.

OBECNE kłopoty gospodarcze i walutowe Stanów Zjednoczonych — to zjawisko, którego następstwa życiowe sięgać będą daleko i głęboko. Nie chodzi tu w tej chwili o to, czy pieniądz amerykański zachowa ostatecznie pełną swoją wartość, ważniejsze bodaj okażą się psychologiczne skutki stwierdzenia, że zagadnienie takie wogóle stało się możliwe jako przedmiot rozważań. W dobie zachwiania się najbardziej podstawowych pojęć moralnych i prawnych, doktryn politycznych, teoryj naukowych, wśród powszechnej niepewności i zamętu, kurs dolara doniedawna pozostawał tą szczęśliwą oazą stałości, gdzie nie sięgało szarpiące umysłem ludzkim zwątpienie, milknął wszystko podważający sceptycyzm, ustępując miejsca bezwzględnej, na nieograniczonej ufności opartej afirmacji. Wiara w dolara, dla „rozsądnego" człowieka współczesnego wydawała się czemś znacznie mocniej ugruntowanem, znacznie bardziej na serjo, niż np. wiara w nieśmiertelność duszy. W każdym razie, w praktycznej działalności t. zw. sfer gospodarczych z tą pierwszą wiarą liczono się o wiele poważniej...

Nie dziw przeto, że i kapłani tego triumfującego kultu cieszyli się czcią i wysokie żywili mniemanie o dostojności swojego stanowiska. Jeszcze w uszach dźwięczy nam ta pewność siebie, ten ton mentorski, jakim różni „rzeczoznawcy", „doradcy finansowi" z za Oceanu udzielali nauk potulnym, z szacunkiem głębokim przyjmującym je krajowcom europejskim: „Naród X musi całkowicie zmienić swój dotychczasowy sposób myślenia, jeżeli pragnie odbudować..." i t. d.; „Konieczne jest, aby kraj Y zrozumiał, że jego rola w międzynarodowym systemie gospodarczym może polegać jedynie na..." i t. d.; „Jeśli członkowie narodu Z nie przeobrażą gruntownie swych zwyczajów i nie dostosują się do nowych wymagań..." i t. d. Miljonerzy amerykańscy, zebrawszy majątki (Ford, Carnegie), za obowiązek poczytywali sobie ogłaszanie swych autobiografij, by swojem „życiem i dziełem" życzliwie wskazać pozostałej ludzkości wzory, według których miałyby się w przyszłości kształtować umysły i charaktery „ludzi czynu". Pouczenia tłumaczono na różne języki, ideały znajdowały entuzjastów. Nawet filozofowie, jak pragmatysta prof. Schiller z Oxfordu, umieli dochodzić do wniosku[1]), że najodpowiedniejszego materjału na wytworzenie elity rządzącej w świecie dostarczy warstwa wielkich finansistów...

Stałość dolara, bogactwo i dobrobyt Stanów były dla pozostałych narodów sprawdzianem wartości amerykańskiego systemu gospodarczego i społecznego, amerykańskich metod pracy, amerykańskich poglądów na życie, amerykańskich pojęć i zasad. Dolar — rzec można — był jakgdyby tem pokryciem realnem, tem złotem, zabezpieczającem wysoki kurs w opinji świata walorom ideowym amerykanizmu. Autorytet, stąd powstały, rzucał swój blask daleko poza dziedzinę spraw czysto ekonomicznych. Czem stałaby się (pozbawiona dolara, jako ostatecznego argumentu) moc jednająca apostolstwa takiej np. Y. M. C. A., bez pływalni, bez kredytów na kluby sportowe, bez świetlic?

Dolar dla Ameryki jest symbolem w o wiele wyższym stopniu, aniżeli funt dla Anglji, lira dla Włoch, frank dla Francji. Jest nieomal upostaciowaniem typu cywilizacyjnego, jego syntetycznem wyobrażeniem. Tu przyczyna szczególnej dotkliwości ciosu, zadanego powadze U. S. A. przez obecny „kryzys". Jeżeli g o s p o d a r c z o cywilizacja ta załamuje się, zawodzi, gdzież obecnie wypadnie szukać innych, pozagospodarczych jej wartości?

Czas szybko bieży. Jeszcze przygotowywana jest dopiero olbrzymia wystawa w Chicago, zamierzona w dobie „dobrej konjunktury", mająca unaocznić wspaniałość i potęgę amerykanizmu, przodującego w pochodzie Ludzkości ku postępowi. A już wydaje się, jakby w tem gigantycznem przedsięwzięciu było coś nieomal anachronicznego, coś nie dostosowanego do istotnych potrzeb i stylu nowej epoki, która nadchodzi.

*

Skoro mowa o anachronizmie, myśl naturalnie całkiem zwraca się ku ostatnim odwiedzinom Warszawy przez twórcę i wodza, — chciałoby się rzec: Nestora, patrjarchy futuryzmu, obecnie członka Akademji Włoskiej, F. T. Marinettiego. Wywody jego budziły zainteresowanie o charakterze antykwarycznym: w jaki też sposób ludzie wyobrażali sobie przyszłość w roku mniej więcej 1910? W podobnym nastroju dziś, po doświadczeniach wojennych z lat 1914 — 18, bierze się do rąk którąś z „powieści fantastycznych", tak popularnych na początku stulecia, opisujących przebieg „przyszłej wojny światowej".

Futuryści włoscy od pierwszej chwili zorjentowali się, że powstający po wojnie prąd faszystowski jest ruchem młodych, młodszych od nich i natychmiast zespolili z nim swoje losy. W r. 1919 w Medjolanie, Marinetti kandydował na jednej liście z Mussolinim. Wszakże duch zachowawczy futuryzmu, nakazujący mu trwać niezmiennie na stanowisku pierwszych swych manifestów, uniemożliwił dotrzymanie kroku szybkiemu i twórczemu rozwojowi ideologicznemu faszyzmu. Słynna reforma szkolna Gentilego — „najbardziej faszystowska z reform", jak się wyraził *Il Duce* — oparła wychowanie młodzieży na fundamencie nauk humanistycznych, wprowadziła do szkół historję sztuki, wydatnie pomnożyła program lektury klasyków łacińskich i włoskich. Faszyzm słusznie chlubi się otwarciem nowych, wspaniałych muzeów dawnej sztuki (np. rozszerzeniem Muzeum Kapitolińskiego), wielkiemi pracami archeologicznemi i konserwatorskiemi, podjętemi w Rzymie, w Ostji i t. d. Marinetti atoli, jak przed laty dwudziestu pięciu, po dawnemu zwalić chciałby „kopułę muzeum", która — zdaniem jego — „zaciążyła nad włoską sztuką".

Ale najbardziej staromodnie brzmią chyba następujące wyznania futurysty (cytuję za sprawozdawcą „ABC", nr. 72 z dn. 10 b. m.):

> „Maszyny są dziećmi naszego wieku. W m a s z y n i e w s z y s t k o j e s t k o n i e c z n e, c e l o w e. Maszyna jest doskonałą syntezą. Niema w niej s z c z e g ó ł ó w z b y t e c z n y c h i l u ź n y c h, wiążą się wszystkie w mocną, logiczną całość. Nie wolno inaczej w sztuce!".

Miły Boże! Czyż nie znajdzie się nigdy w maszynach „szczegółów zbytecznych"? Wystarczy choć

---

1) *„Cassandra, or the future of British Empire"*.

by obejrzeć „ozdóbki“, jakiemi „upiększane“ bywają np. „amerykańskie maszyny do szycia“ Singera. A, z drugiej strony, czyż nie jest „wszystko konieczne, celowe“ w architekturze katedry strasburskiej, w „*Madonna del Magnificat*“ Botticellego, w „Sonetach krymskich“ Mickiewicza? Czyż każdy szczegółik najdrobniejszy nie jest tam uzasadniony, niezbędny, przyczyniający się w sposób niezastąpiony do spotęgowania wzruszenia, wywoływanego przez całokształt dzieła?

Wartoby ustalić wreszcie zasadę, że o wartości tworów ludzkich rozstrzyga nietylko należyte, logiczne dostosowanie środków do celu, ale także hierarchja celów, którym służą. W szczególności nie powinnoby to być trudne potomkowi narodu, co przed wiekami zbudował w Rzymie imponującą *Cloaca Maxima*, a przecież nie uznał w niej bynajmniej najwyższego wykwitu swego ducha.

A ponadto pora już byłaby człowiekowi nowoczesnemu przyzwyczaić się potrosze do zjawiska, jakiem są maszyny, przestać spoglądać na nie z ustami, otwartemi z podziwu, nauczyć się oceniać każdą z nich spokojnie, przedmiotowo, ze stanowiska roli, jaką w nowotworzących się stosunkach światowych odgrywa i może odegrać. Przeżywamy okres ogromnych przemian. Czas prędko bieży. Spóźni się, kto zechce gonić go nie szybkością myśli, lecz szybkością, amerykańskiego nawet, mechanicznego motoru.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

„STOIMY NA PROGU ERY TECHNOKRACJI“ — oto najnowsza teza amerykańska, którą na naszym gruncie propaguje energicznie „Nasz Przegląd“. Władza w niedalekiej przyszłości przejdzie z rąk polityków w krzepkie dłonie inżynierów, uczonych, specjalistów. Praca fizyczna będzie zmiejszona do *minimum*, bo wszystko zrobią maszyny. Dla ich kontroli wystarczy szesnastogodzinny tydzień pracy. Cztery godziny dziennie — przez cztery dni w tygodniu. Resztę czasu poświęci radosny proletarjusz na przyjemności i wydawanie obfitych zarobków, wydawanie tak intensywne, że zaspokoi całą produkcję maszynową. „Żadnych oszczędności!“. Oto hasło, które wprowadzi raj na ziemi.

Aby zwiększyć kapitał konsumcyjny, i wypróżnić pończochy, technokraci proponują nowy system monetarny. Złoto będzie wyklęte i pójdzie najwyżej na biżuterję. Jednostką monetarną będą „ergi“, jednostki energji. „Praca ludzkich mięśni i mózgu“ — pisze p. Pierrot (Apenszlak) w swym fejletonie — „obliczona zostanie ściśle według ilości zawartej w niej energji. Za daną ilość energji — człowiek otrzymuje odpowiednią ilość ergów.. Te ergi... rozbiją zator pieniężny na świecie, uczynią pieniądz płynnym“. Ale nie koniec na tem:

„Poszczególne serje ergów będą miały wartość obiegową tylko w określonym czasie. Wyobraźmy sobie tedy, że emisja z dnia 1 stycznia jest efektywna tylko do 1 czerwca. Do tego czasu każdy musi wydać swe ergi, kupić coś za nie, inwestować je w przemyśle lub handlu. Po pierwszym czerwca — pieniądze, których się nie pozbył — nie będą miały już wartości. Musi zarobić inne — z nowej emisji — swą energją. W ten sposób znika jedna z przyczyn kryzysu: tezauryzacja, chowanie gotówki, „marynowanie pieniędzy“. Pieniądz musi być ciągle w ruchu, jak rower: jeśli stanie, przewróci się.

Proszę teraz pomyśleć, co będzie się działo 31 maja w jakimś roku ery technokratycznej! Ludzie, którzy nie zdążyli wydać wszystkich „ergów“, będą kupować byle co, będą robić wszelkie interesy. Będą nawet zakupywać masowo obrazy i książki! Będą nawet dawać pieniądze na cele dobroczynne! Ruch, życie, haussa!

I nikt nie zaproponuje już bliźniemu: „Pożycz mi sto ergów“!

Niestety, wrodzona zgryźliwość nie pozwala nam na entuzjazm i wiarę w to, że „w głębi tej teorji jest zaródź i prawda przyszłości“ (jak twierdzi idealista Apenszlak). Dręczy nas bowiem pytanie, kto w dniu 31 maja zechce przyjąć owe „ergi“, które nazajutrz stracą wszelką wartość. Chyba, że każdy będzie osobiście dostawał dwa razy do roku „ergi“ z kasy państwowej i takąż ilość zwracał po pół roku, resztę zaś zatrzymywał. Ale wówczas po pięciu latach będzie w obiegu dziesięć emisji, a po czterdziestu — osiemdziesiąt. Co za wdzięczne pole do fałszowania „ergów“ i to do fałszowania z podwójnym zyskiem, bo za „energję mięśni i mózgu“ przy fabrykacji i puszczaniu w obieg słusznie należeć się będą nowe „ ergi“. A tezauryzacji się nie zapobiegnie, gdyż tracić się będzie jedynie „kapitał wkładowy“, nie zysk. W końcu będzie na świecie dużo więcej „ergów“, niż energji, co ówcześni uczeni nazwą starożytnem słowem „inflancja“...

W PEWNEM GIMNAZJUM, POZOSTAJĄCEM POD KIERUNKIEM ARCYGORLIWEGO SANATORA, odbyła się generalna superrewizja książek w bibljotece szkolnej. Pomiędzy innemi uległy ostracyzmowi „Uskoki“ Jeża. Zaciekawieni tem uczniowie rzucili się tłumnie do tej książki, i oto co w niej znaleźli:

„Kawaler Bertuczi był głośny... Cóż mu ten rozgłos robiło? Nie co innego, tylko język jego własny...

Gadał, nie oglądając się na nikogo i na nic, ani nawet na prawdę, którą uważał za zbytek niepotrzebny, bez którego obejść się może człowiek, mający punkt wychodni za sobą i cel przed sobą, i dążąc do dopięcia tego celu bądź co bądź.

Pomiędzy punktem wychodnim a celem było do przejścia droga, której uściełaniu poświęcił całą energję. A była ona wielka, bo postawił ją w stosunku do miłości własnej osoby, miłości, podniesionej do potęgi najwyższej.

— Bośnia — to ja, mawiał do współziomków swoich...

Nie mógł ścierpieć obok siebie nic, coby mu przyćmieniem zagrażało. Chciał być zbawcą Bośni sam, niepodzielnie. W tym celu wszystkich współziomków swoich, którzy głową lub sercem nad poziom wyskoczyli, bez względu na nic, obdzierał z rozumu i czci. Suchej nitki nie zostawiał na żadnym. Byli to, wedle niego, sami idjoci i łotrzy, robiący interesa Turków.

Tylko on jeden miał rozum, on jeden był czysty.

Za dowód służyły mu fakta niezbite... Że wyprawy uskockie odbywały si jedne bez jego współudziału, drugie — ze współudziałem lub nawet pod jego przewodnictwem, przeto pierwsze potępiał bezwzględnie, w drugich zaś umiał winę i odpowiedzialność zdjąć z siebie, a na drugich zwalić. W tym względzie był mistrzem. Tworzył sprzeniewierców, zdrajców, złodziejów, tchórzów i niedołęgów w mnóstwie, zliczyć się nie dającem, i znajdował ludzi, którzy mu potakiwali i wierzyli...

„Wypadki robią ludzi“ — to pewnik. Kawaler Bertuczi rósł na wielkiego człowieka, podnoszony na ramionach tych, z których każdy, z całą swoją prostotą, z całą swoją głupotą ślepej wiary, więcej niezawodnie był wart, aniżeli on sam.

Ale fakt był faktem. Tamci, coby mu zaradzić mogli, poszli i przegrali. Ale on pozostał, i wielu jeszcze pozostało, i ci co pozostali, obwołali go — wojewodą. Swoim? byłoby to jeszcze pół biedy, ale takim drobiazgiem kawaler by się nie zadowolnił. Obwołali go wojewodą wszech Bośni.

Jakiem prawem?

Takiem, że nikogo nie było, ktoby im tego prawa zaprzeczyć mógł.

— Niech będzie Bertuczi! — rzekli ci nawet, którym się genjalność jego podejrzaną wydawała, i którzy za tą powodzią samochwalstwa i oszczerstw widzieli szarlatanizm".

Podobno, kreśląc tę sylwetkę Ludwika Bertucziego, Jeż miał na myśli osobę Ludwika Mierosławskiego. Więc chyba nikt aktualności tu dopatrzyć się nie powinien. A tymczasem... Skądże owa trwoga sprawnego „wychowawcy państwowego"?

W 50 LECIE ZGONU wielkiego Ryszarda Wagnera warto może przypomnieć kilka jego świetnych uwag o żydach, uwag, które nie straciły do dziś swej aktualności:

„Życzyliśmy żydom państwa jerozolimskiego, lecz musimy raczej ubolewać nad zbytnim sprytem p. Rothschilda, który zamiast królem żydów — stał się żydem królów... Całkiem niepostrzeżenie zmienił się ten wierzyciel królów w króla wierzycieli. Przeto żądanie przez tego króla emancypacji żydów musimy uznać za ogromnie naiwne, raczej nam trzeba będzie walczyć o wyemancypowanie się od żydów. W dzisiejszym bowiem stanie rzeczy żyd jest już więcej, niż emancypowany: już panuje i panować będzie, dokąd pieniądze będą synonimem władzy. Nie potrzeba stwierdzać zżydowszczenia sztuki współczesnej, to wprost bije w oczy... Żyd mówi językiem narodu, w którym żyje, ale mówi nim jak cudzoziemiec. Nasza cywilizacja europejska i sztuka — to żydom rzeczy obce. Te rzeczy obce może żyd tylko małpować i naśladować... Żyd wykształcony obcy jest społeczeństwu, którego nierozumie... W czasach, gdy tworzyli Goethe i Schiller, nie słyszeliśmy jeszcze o żydzie, piszącym wiersze; dziś jednak, gdy twórczość stała się u nas kłamstwem, wyjawił to kłamstwo z szyderstwem uzdolniony i poetyczny żyd" (Heine).

KIM BYŁ ARMAND LÉVY?

(SPÓŹNIONE ECHO PRZEBRZMIAŁEJ POLEMIKI)

W interesującej, chociaż grubo tendencyjnej broszurze Romana Brandstaettera p. t. „Legjon żydowski Adama Mickiewicza", znajdujemy, od strony 6-tej począwszy, garść szczegółów, tyczących się Armanda Lévy.

„Kim był ów dziwny Francuz" — pyta Brandstaetter — „...przebywający u boku Mickiewicza i interesujący się tak namiętnie sprawą żydostwa, poruszoną przez polskiego poetę? Armand Lévy był katolikiem. Dziadek jego, żyd z Metzu, zakochawszy się w katoliczce, porzucił dla niej wiarę przodków i przeszedł na katolicyzm. Ojciec..., zasymilowany Francuz, brał czynny udział w kampanjach napoleońskich, jako dowódca oddziału depesz.. Armand Lévy — utopista, zapalony marzyciel, zupełnie pozbawiony instynktu praktyczności, przyjaciel Lamennais'go, człowiek o krystalicznie czystym charakterze, uczestnik ruchów wolnościowych w r. 1848, nie należał do żadnej partji ani żadnego ugrupowania politycznego, ...zbyt uduchowiony (— pisał o Lévym Władysław Mickiewicz w swoich „Pamiętnikach") i zbyt wielki napoleonista dla jednych, zanadto socjalistyczny i czerwony dla drugich, pozostał poza ugrupowaniami politycznemi... Armand Lévy, jeszcze bardziej zasymilowany, niż ojciec, urodzony katolik, wychowany przez matkę katoliczkę..., (powrócił potem do żydostwa; pochowano go ściśle wedle rytuału żydowskiego)..."

Ta stronna, a miejscami obleśna (w duchu dostatecznie określonym w świetnej przedmowie Rolickiego, jeżeli się ją zwłaszcza zestawi z pogardliwą tuż obok charakterystyką „goja" — Sadyka) charakterystyka, wieńczy się jednak niespodziewanym w dodatku finałem. Oto — na stronie 8-ej broszury Brandstaettera — nasz „dziwny Francuz", a „urodzony katolik", choć „pochowany ściśle wedle rytuału żydowskiego", syn napoleońskiego telegrafisty (a wiadomo, jak doniosłą i złowrogą rolę odegrała służba telegraficzna chociażby w ostatniej wojnie), raz — skrajny napoleonista, to znowu — czerwony socjalista, przyjaciel „chadeka" Lamennais'go, ale później uczestnik zbrojnego na Rzym papieski napadu (— ma rację p. Brandstaetter, że ważna jego rola w tych mickiewiczowskich przeprawach jest niezbadana, bo niesposób polegać wyłącznie na mętnych pamiętnikach Wł. Mickiewicza, ani bodaj na samej korespodencji Krasińskiego) — Lévy demaskuje się poprostu jako bojowy syjonista we współczesnym stylu Thona czy Żabotyńskiego.

Oto bowiem, co czytamy o nim w cytowanej przez Brandstaettera książce Hessa: *„Rom und Jerusalem, die letzte Nationalitätsfrage"*:

„Przyjaciel mój Armand L (évy), który przed kilku laty objeżdżał księstwa naddunajskie, opowiadał mi, że tameczni żydzi wzruszali się do łez, kiedy on im ze słowy: *Le temps du retour approche*, obwieszczał koniec ich cierpień... Pytali mnie — opowiadał mi dalej mój przyjaciel — wedle jakich to znaków poznać będą mogli, że zbliża się koniec wygnania. Wedle tego, — odrzekłem im (mówił Lévy) — że wpierw złamane zostaną turecka i papieska potęga".

A teraz — dla uzupełnienia tej rewelacji Brandstaetterowej — otwórzmy parę najstarszych kodeksów masońskich, *ad usum* tych zwłaszcza, co negują dotychczas genezę żydowską masonerji (O. Urban):

Kodeks drezdeński nr. 32 — „Jedwabna nić świata czyli proroctwo, w którem nagła i więcej, niż cudowna przemiana świata, t. j. Antychrysta-Papieża zachodniego i Mahometa wschodniego straszliwa zagłada... *et sic omnis Israel salvus fieret...*"

Kodeks stuttgarcki nr. 23 — „Pomiar świątyni... (czyli) proroctwo (w którem) się objawi drugie... nadejście Chrystusa (— Mesjasza)... po Bożej zagładzie syna grzechu, Papieża, wraz ze synem swoim zatraconym, Mahometem..."

Kodeks frankfurcki (drukowany) — „Wyznanie chwalebnego bractwa czcigodnego Różokrzyża": „Potępiamy bluźnierstwa zarówno Wschodu jak Zachodu, t. zn. Mahometa i Papieża..."

Czy wystarczy?

K. M. M.

NAUKA I LITERATURA

Z PUBLICYSTYKI RUSKIEJ

BROSZURA dr. Iwana Nimczuka *„Za Sanom. Z pojizdky po Łeżajskomu dekanati"*. (Za Sanem. Z podróży po dekanacie Leżajskim, Lwów 1932. Str. 39) zawiera pobieżny opis życia garstki ludności grecko-katolickiej, rozproszonej śród zwartej masy Polaków obrz dku łacińskiego powiatów Łańcuckiego, Przeworskiego, Rzeszowskiego i Niskiego. Broszura ta jest dla polskiego czytelnika o tyle ciekawa, że wylicza szereg skupień ludności grecko-katolickiej, której językiem ojczystym jest język polski. A więc: w mieście Leżajsku i najbliższej osadzie (parafja Leżajska) część grecko-katolickiej ludności mówi już po polsku. Reszta ludności tejże parafji, oraz parafij Dubno, Kurylówka i Ożanna w tymże powiecie łańcuckim posługuje się językiem ruskim, ale tak silnie nasyconym polonizmami, zarówno w dziedzinie głosowni, jak słownika, składni i frazeologji, że na pierwszy rzut oka robi wrażenie języka polskiego. („Koły czujete tu mowu zdałeka, wy perekonanni, szczo ce mowa polska"). W powiecie Przeworskim: parafja Krenowicze, ludność gr.-kat. mówi wy-

łącznie po polsku, kazania w cerkwi po polsku; parafja Kończuga (miasteczko): ludność mówi po polsku, w cerkwi kazania polskie. Parafja Mirotyn (czy Mirocin, bo trudno się z pisowni ruskiej zorjentować) — ludność mówi po polsku i kazania polskie. Pow. Tarnawka: w samej Tarnawce ludność mówi po rusku, kazania ruskie, w okolicznych wsiach ludność mówi po polsku, w kaplicy gr.-kat. w Hadlach Szlacheckich kazania polskie. W powiecie Rzeszowskim: Par. Zalesie-Biała, ludność mówi po polsku, kazania polskie. Mimo to jest „Narodny Dom", w którym do niedawna odbywały się przedstawienia amatorskie wyłącznie po polsku, a ostatnio i po rusku (dzięki ludziom, którzy języka ruskiego nauczyli się w wojsku). W odległym o 5 klm. Rzeszowie jest czytelnia „Proświty". W powiecie Niskim parafja Dąbrówka. Ludność mówi po polsku, kazania polskie. Jest bibljoteka i czytelnia „Proświty". Czynione są starania o założenie ruskiej ochronki.

Ludność gr.-kat. mówiąca po polsku posługuje się modlitewnikami, zawierającemi modlitwy ruskie, pisane „łacinką". Autor broszury zastanawia się nad sposobami ożywienia akcji „ukraińskiej" śród ludności wymienionych wyżej wsi. Pisze np. o znaczeniu dobrych kazań. („Nechaj i po polsky w tych sełach da wirni inaksze ne rozumijut"). Radzi urządzać w tamte strony wycieczki młodzieży ruskiej. Proponuje założyć specjalne wydawnictwo w języku polskim, przeznaczone dla tego odłamu ludności grecko-katolickiej, którego mową ojczystą jest język polski — licznie jak wiadomo reprezentowanego i w w innych okolicach (autor broszury, prócz dekanatu leżajskiego, wymienia przedewszystkiem dekanat dynowski, porochnicki i inne, oraz miasto Lwów). Zresztą autor ubolewa nad słabością ruszczyzny w opisywanych przez siebie okolicach, oraz nad postępami całkowitej polonizacji.

Broszura dr. Nimczuka jest dla polskiego czytelnika interesującem źródłem informacyj, wprawdzie tylko ułamkowych, o istniejącym na terenie cerkwi grecko-katolickiej stanie posiadania języka polskiego — i wynikającej z tego stanu posiadania możliwości — aż dziw, dlaczego dotąd nie wykorzystanej — wywalczenia dla obozu polskiego pewnej, choćby narazie skromnej, pozycji wewnątrz cerkwi. Jest palącą potrzebą zorganizowanie polskiej grecko-katolickiej ludności w duchu polskim i skierowanie jej do walki — choćby tylko o to, by władze cerkiewne nie przesyłały jej parochów, w języku polskim szerzących z kazalnicy wielkoukraińską propagandę i w etnograficznie polskich wsiach zakładających „Proświty".

Ta niewielka grupa Polaków greko-katolików, dla których wygłaszane są już w cerkwiach polskie kazania, może i powinna stać się zawiązkiem wielkiego obozu polskiego wewnątrz obrządku greckiego, — obozu zajmującego stanowisko analogiczne do obozu Niemców-katolików w polskich djecezjach katolickich w zaborze pruskim przed wielką wojną. (G - CH.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pisaliśmy tu niedawnemi czasy o specjalnym numerze „Ruchu Literackiego", poświęconym rozważaniu dzieła twórczego Józefa Conrada. Jako uzupełniona odbitka z tamtego zeszytu ukazuje się właśnie w niewielkim nakładzie 100-u egz. publikacja Piotra Grzegorczyka, cenionego bibljografa, p. t.: „Joseph Conrad w Polsce". Poszukiwania, podjęte przez autora, uzasadniają ważne względy naukowe. „Zainteresowanie badawcze Conradem wymaga rozejrzenia się w dotychczas dokonanej u nas nad nim pracy". Oto rola i przeznaczenie materjałów bibljograficznych Grzegorczyka: „ułożone rzeczowo i chronologicznie powinny pozwolić odczytać zewnętrzny bieg Conradowych dziejów w ojczyźnie". Nie wyczerpując rzeczy — byłby to trud uciążliwy i wielekroć próżny wobec pozycyj małoważnych i błahych — orjentują przecież dobrze w historji narastania pięknej sławy pisarskiej Conrada w Polsce.

Rozglądamy się ciekawie wśród przekładów pism autora „Murzyna", które doznały niejednej przygody literackiej w przedwojennem czasopiśmiennictwie polskiem, zanim spoczęły w wytrawnych rękach Anieli Zagórskiej, Lemańskiego, Wyrzykowskiego. Zebrano z kolei wiadomości o listach Conrada, zarówno wydanych zagranicą jak w Polsce, uwydatniając związki korespondencyjne pisarza ze światem ojczyzny. Następnie grupa materjałów biograficznych. W wiązance głosów o dzieciństwie Conrada śledzimy jego młodość i refleksy polskie, które paść miały na dojrzałą twórczość. Rozlegają się później pierwsze opinje (lata 1896-1917) o pisarzu, tak ciekawe i dla stosunków polskich charakterystyczne: ostre sądy Orzeszkowej, estetyzm Brzozowskiego, entuzjazm Nowaczyńskiego i innych. Prolegomena to jedynie do systematycznych badań literackich. Zagaja je studjum Kołaczkowskiego z r. 1925, mnożą się potem coraz liczniejsze *conradiana*: szkice, obserwacje, *essay*'e, rośnie wiedza nasza o pisarzu, rośnie też zastęp czytelników, egzegetów, wyznawców. Wszystko to widać doskonale w bibljografji Grzegoczyka.

Można ją czytać jak ciekawy rozdział literatury. Materjał z pozoru suchy, rejestrujący, pedantyczny w szczegółach, informacjach, dociekaniach zebrał autor w układzie przejrzystym i pomyślanym intelgentnie, a nadto ożywił w sposób jedyny. Jest niewątpliwie życie własne w tych wąskich, petitowych szpaltach, w drobizgowości ich ustaleń, w tych uwagach pojaśniających, w czujnej trosce o rzetelność roboty. Powie ktoś: praca, w której nie widać autora. Przeciwnie, widać go nieustannie.

Wśród rosnących zaciekawień dla twórczości Conrada, bibljografja którą sygnalizujemy, spełni ważną rolę przewodnika i informatora. Nadto zaś w swej metodzie naukowej posłużyć może za wzór wszelkim specjalnym bibljografjom literackim (M.)

*

Do najciekawszych zabytków kultury polskiego średniowiecza należy t. zw. Modlitewnik Warneńczyka, księga królewska zaklęć magicznych, autorstwa zapewne niemieckiego, dzieło, zdaniem uczonych, jedyne tego rodzaju w literaturze europejskiej. Przechowywane w bibljotece Bodlejańskiej w Oxfordzie, zdawna nęciło ku sobie historyków sztuki i kultury oraz miłośników rzeczy starych. Relacja Stanisława Michalskiego, ogłoszona swego czasu na łamach „Przeglądu Bibljotecznego", starczyła niewątpliwie za zachętę do badań szczegółowych. Niedawnemi laty, wyzyskując materjały poprzednie, spełniono tu postulat najważniejszy: we Lwowie, w r. 1928, grono filologów i historyków sztuki (Bernacki, Ganszyniec, Podlacha) wydało ze znaczną pieczołowitością naukową, wraz z podobiznami rękopisu i minjatur, tekst „Modlitewnika". Otwarły się w ten sposób drogi dla poszukiwań badawczych, które też szczęśliwie rozpoczęto.

Rozprawa Ganszyńca, poprzedzająca wydanie lwowskie, ukazała szereg zagadnień, które zabytek ów narzuca. Podjęto z kolei dyskusję fachową na temat treści i przedstawień plastycznych dzieła (ks. Dettloff z Poznania w Krakowskim Przeglądzie historji sztuki).

Wśród badaczy zabytku notujemy dziś nazwisko ks. prof. Zdzisława Obertyńskiego, który w wydawnictwach Towarzystwa Naukowego we Lwowie ogłosił właśnie rozprawę: „Wyobrażenie Trójcy Św. w t. zw. Modlitewniku Warneńczyka". Rozprawa owa sięga do zasobów rysunkowych modlitewnika, który dostarcza wiele materjału z dziedziny ikonografji chrześcijańskiej. Erudycyjne wywody autora ustalają rodowód jednej z minjatur dzieła, zajmującej ważne miejsce w ewolucji wyobrażeń Trójcy Św. Poblem ów, rozważony z dokładną znajomością rzeczy, pomnaża wiedzę ikonograficzną szczegółem nieobojętnym. (M.)

*

Literatura myśliwska — zawsze w Polsce bogata — straciła wprawdzie niedawno swych czołowych przywódców: Weyssenhoffa i Ejsmonda, ale rozmachu swego i żywotności nie straciła, skoro tyle wciąż się ukazuje książek, osnutych na tle życia łowieckiego. I nigdy łowcom nie braknie barwnego wątku, nie braknie tematu, nawet nowych terenów, a choć, zdawałoby się, że już pisarze piscy — od lat kilkunastu hołdujący regjonalizmowi — przetrząsnęli i dla celów literackich wyzyskali każdy zakątek Rzeczypospolitej, jednakże okazało się, że na Polesiu, że w Karpatach są jeszcze obszary całe, których nie nawiedziła stopa turysty. Tam to wędrował Ejsmond („Moje przygody łowieckie" księg. Św. Wojciecha), wędrowali inni, pomniejsi, choć nie mniej ambitni. Ale w związku z projektami kolonjalno-emigracyjnemi, a często w związku z kaprysem polskiej fantazji, pojawili się i tacy, którzy na łowy jeździli i w kraje dalekie — do dżungli indyjskich, puszcz afrykańskich czy południowo-amerykańskich selwasów. Z miłem (bo nawet groźne przygody miłemi być mogą) łączyło się i pożyteczne: cel naukowy ekspedycyj, wzbogacenie zbiorów przyrodniczych w Polsce; tu polscy łowcy są następcami niezapomnianego Sztolcmana, który w cięższych daleko warunkach zdobywał setki okazów egzotycznej fauny, by je w muzeach polskich pomieścić. Po Ossendowskim, Chrostowskim, Potockim wystąpił teraz z książką o łowach na egzotycznym obszarze St. Mycielski. Książka ta p. t. „W sercu dżungli" (Wydawnictwo Polskie, Poznań) jest lekturą miłą i każdemu przystępną. Autor nie stara się olśnić czytelnika ani erudycją naukową ani ogromem swych trofeów, ani wyszukanym stylem. Opowiada poprostu, bezpośrednio, zwięźle, ma dużo do powiedzenia, więc słów niepotrzebnie nie traci, nieraz operuje skrótami zdaniowemi, nie wpadając jednak nigdy w oschłość. Obok fabuły czysto myśliwskiej interesujące są i dygresje — np. o kopalniach djamentów w Kimberleyu. (J. B.)

*

Zbiór nowel W. Somerset'a Maugham'a, wydany p. t. „Cnota" (Wydawnictwo Współczesne 1923 — tytuł angielski: „*Six Stories written in First Person Singular*") daje już jasne pojęcie o obliczu moralnem autora. Albo raczej o braku owego oblicza moralnego. Nowele i powieści, które dotąd ukazywały się w przekładzie polskim (*The Trembling of a Leaf, Ashenden, The Painted Veil*) miały za temat życie europejczyków w krajach egzotycznych i wątpliwości natury moralnej, odczuwane przy ich czytaniu, można było tłumaczyć choćby nienormalnością stosunków opisywanych, wynikającą z zetknięcia obcych zupełnie kultur. Tutaj rzecz się dzieje w Anglji i właśnie życie angielskie jest tematem, analiza zaś zagadnień i ich rozwiązań pozwala sądzić, że wątpliwości były uzasadnione. Można się spotkać z opinją, że twórczość Maugham'a jest niemoralna.

Zdaje się jednak, że to twierdzenie nie jest słuszne. Jest ona raczej amoralna, bo choć pozornie rzuca problemy natury etycznej, albo i społecznej, są to tylko pozory problemów i nie one stanowią punkt ciężkości rzeczy. Istotę twórczości Maugham'a stanowi sensacja, różniąca się od sensacji powieści kryminalnej tylko tematem. Jest to sensacja dla wyższych warstw społeczeństwa, demagogiczna zresztą, bo wmawiająca w czytelnika, że czyta głębokie studja psychologiczne. Temat kryminalny, naogół zresztą zdeprecjonowany przez opinję, nie jest już tak sensacyjny, czy niezwykły w chwili obecnej. Kobieta sześćdziesięcioletnia, z którą żeni się bardzo młody człowiek z miłości, a potem jest przez nią porzucony dla starszego o wiele mężczyzny, piękna i bogata arystokratka o szerokich stosunkach towarzyskich, która usuwa się na wysepkę grecką, by móc tam swobodnie żyć ze swoim lokajem — to rzeczy o wiele bardziej fascynujące od tajemnicy kryształowego korka, czy nieznanych sprawców, którzy należą do szarej codzienności. Zasada natomiast jest ta sama — niezwykłość i nieoczekiwaność wydarzeń.

Pozory wysokiego poziomu artystycznego stwarza wielki niewątpliwie dar narratorski Maugham'a, łatwość i lekkość pisania (Ma on już na sumieniu 14 tomów powieści i 22 sztuki teatralne), duże zdolności obserwacji i plastyka opisu, doskonały styl, dobra znajomość życia i kultury współczesnej, wreszcie humor, dość delikatny, choć czasem trochę niesmaczny, właśnie z powodu braku kośćca moralnego autora. Interesujące jest opowiadanie o żydach, uderzające trafnością charakterystyki i wyraźną antypatją autora do narodu wybranego.

Piękny język Maugham'a tłumaczyła nieźle p. Bron. Kopelówna. Przekład jednakże ku końcowi traci na staranności i precyzji. Tłumaczce brak znajomości bezpośredniej jęz. angielskiego, jakiej nabyć można tylko w kontakcie z krajem i kulturą, bliższym niż poprzez słownik. I tak „*dinner-jacket*" nie znaczy „żakiet" tylko „smoking" (str. 195) „*chorus*" w rewji, to nie „chór" (str. 166), a „*large*" o ile po francusku oznacza „szeroki", po angielsku należy tłumaczyć „duży". Jest jeszcze parę takich usterek. (A. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Powieściopisarz H. Bordeaux, który napisał kilka pięknych książek, poświęconych ludziom i sprawom w okresie wielkiej wojny, (żywot bohaterskiego lotnika Guynemier'a, „Ostatnie dwie fortuaux" i t. p.) ogłosił świeżo książkę p. t. „*Joffre ou l'art de commander*" („Joffre czyli sztuka dowodzenia"), w której nietylko mówi o tem, kim był i jak się zachowywał marszałek Joffre w czasie wojny, lecz szkicuje także portrety innych wielkich wodzów oraz polityków ówczesnych. Autor, który miał sposobność obserwować ich zachowanie się w chwilach krytycznych, powiada, że Joffre górował nad wszystkimi niezwykłą pogodą ducha, spokojem wewnętrznym, mogącym uchodzić za obojętność. „On śpi" — wykrzyknął pewnego razu Briand — „a mnie następuje na pięty sześciuset deputowanych". Joffre'owi następowały na pięty miljony Niemców, on jednak nie tracił swego spokoju wewnętrznego, nie denerwował się, nie podlegał zniecierpliwieniu, zdawał się być obojętnym, na wszystko jednak miał zwrócone oko i wszystkiemu umiał w porę zaradzić.

W książce tej charakteryzuje autor innych wielkich wodzów (Pétain'a, Fayolle'a, Maistre'a, Mangin'a i t. p.) i w końcu powiada, że należeli oni do pięknej rasy francuskiej, zdrowej, zrównoważonej, do rasy Sully'ch, Turenne'ów, Colbert'ów, tych słowem ludzi, którzy umieli zapanować nad najbardziej nowemi sytuacjami dlatego, że głowy ich były w porządku, a serca na swojem miejscu. (W. J.).

*

W Sorbonie odbywała się w lutym b. r. uroczysta akademja na cześć znakomitego pisarza Gobineau'a, z powodu skończonego pięćdziesięciolecia jego śmierci. Obchód, w którym mieli wziąć udział przedstawiciele rządu, między innymi minister oświaty, de Monzie, odbył się wprost skandalicznie. Okazało się, że de Monzie, który miał mówić o Gobineau, jak zapowiadał program obchodu, nie przybył, tak samo nie zjawił się podsekretarz stanu ministerstwa oświaty, za to przybył... p. Ludwig i ten wygłosił odczyt o autorze prześlicznej książki o Renesansie włoskim i t. p. Znany pisarz, de Halèvy, tak pisze o prelegencie: „mówił Ludwig, pisarz niemiecki, biograf, dla którego każdy jest dobry—Napoleon czy Goethe, Mussolini czy Jezus Chrystus. Przez pół godziny obracał i przewracał on Gobineau swojemi grubemi łapami"... Tak się urządzają w Paryżu obchody znakomitych Francuzów! Obchód Gobineau miał przynajmniej tę dobrą stronę, że nareszcie zaczynają we Francji odzywać się pogardliwie o reklamiarzu, płytkim autorze żywotów rozmaitych wielkich mężów, który nietyle jest Ludwigiem, ile zwykłym Kohnem. (W. J).

ZE ŚWIATA SZTUKI

Z WYSTAW lutowych w Zachęcie najciekawszą była zbiorowa, Adama Bunscha. Dotychczas mieliśmy sposobność oglądać pojedyńcze kompozycje artysty, teraz obok nich widzimy portrety, pejzaże, studja, aż do drobnych szkiców ołówkowych.

Z kompozycyj przedtem już oglądanych przemawiał do nas plastyk, nietylko wartościami kształtu i barwy. Odpowiednie ujęcie treści plastycznej czyniło z niej zarazem wykładnię pewnych koncepcyj, już pozamalarskich, a w tym wypadku językiem malarza wyrażonych. Treść ta, wyrażając nietylko siebie, nabierała znaczenia symbolu. Bunsch jest jednym z bardzo już dzisiaj nielicznych symbolistów w plastyce.

Oczywiście, przy takiem rozwinięciu tematycznem, jego obrazy posiadają i dużą rozpiętość plastyczną, zwłaszcza w dziedzinie kształtu. Bunsch, nie ułatwiając sobie zadań, nie unikając trudności, nie cofa się przed malowaniem dużych kompozycyj figuralnych, przeciwnie, właśnie je najchętniej bierze za temat swych prac. Ambicjom w tej dziedzinie nie odpowiada skala zainteresowań pozostałych. Kompozycje są przeważnie profilowe, o wyraźnej sylwecie postaci ludzkiej, dobrze postawionej, dobrej w proporcjach i ruchu.

Dobremu rysunkowi, jeśli chodzi o całość, nie towarzyszy już dostateczne wydobycie rysunkowe poszczególnych fragmentów; dostrzegamy pewne, jakby mimochodem traktowanie nawet ważnych szczegółów, np. ręki.

Poważniejszym zarzutem będzie stwierdzenie zbytniej jednostajności fakturowej. Ciekawe światło, na stronę malarską obrazów Bunscha, rzucają znajdujące się na wystawie jego pastele (pejzaże leśne, nawiasem mówiąc, przypominające Wyczółkowskiego). Wskazują one na źródło techniki malarza, techniki wybitnie pastelowej, w sposobach użycia pendzla i farby olejnej. Stąd zapewne pochodzi także i płowy koloryt artysty, gdyż właśnie kredy pastelowe obfitują w przebogaty i charakterystyczny dla nich arsenał tonów szarych, o różnem zabarwieniu.

W niektórych pejzażach poczynił artysta próby zerwania z dotychczasową (zbyt ubogą) techniką olejną i kolorytem stonowanym.

Br. Kowalewski wystąpił z wystawą akwarel: pejzaży i martwych—natur, w ujęciu bezpretensjonalnych i malowanych delikatnie. Krajobrazy, niewielkie rozmiarami, to przeważnie notatki z Kazimierza.

T. Nartowski ma dobrą technikę akwarelową i trudno artyście cośkolwiek pod tym względem zarzucić. Jego pejzaże malowane są wprawnie, soczyście i śmiało—cóż, kiedy dobre wrażenie psuje jednocześnie banalny wybór i ujęcie odtwarzanych fragmentów. Ambicje kolorystyczne skromne. Strzępy plam nieraz rozrywają kształt.

St. Domaradzki sam zrezygnował z możliwości rozwoju i zgrzeszył tembardziej, gdyż te możliwości posiadał. Nic w jego obrazach nie razi, przeciwnie, wiele tu kawałków zrobionych umiejętnie; ale kto uważa, iż obraz może być tylko rezultatem już zdobytej wiedzy, bez udziału nowych ambicyj twórczych, ten rezygnuje z miana artysty. Domaradzki, operując tylko rutyną, posługuje się przytem sposobami, wynalezionemi przez naszych ojców, zapominając, że i synowie powinni coś-nie-coś, ze swej strony, do ich dorobku dorzucić.

Utalentowany neo-impresjonista, Wacław Piotrowski, wystąpił z nową kolekcją prac: głów, malowanych z żywem poczuciem charakteru, ujrzanych przez rasowego malarza.

Pan Adam Styka umiłował osiołki i odtwarza je, udając przytem, iż jest kolorystą.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

DRAMAT KALINY

PO TRZYDZIESTU LATACH znowu premjera „Dramatu Kaliny", ten sam i taki sam młody autor, Zygmunt Kawecki, ukazuje się na scenie, ale dziś jubilat, uwieńczony laurem zasługi literackiej. Artykuły w prasie, portrety, na scenie wieńce, hołdy.

Teraz w teatrze Letnim w Warszawie, wówczas w teatrze lwowskim, za najlepszych czasów dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego.

Dla Lwowa była to sensacja. Trzęsło się w mieście, że autor przedstawia lwowskie stosunki. Kalinę grał Kamiński, ucharakteryzowany na Kaweckiego. Inni aktorzy poprzebierali się za Womelę (krytyka), Ignacego Nikorowicza, bo to oni byli portretowani. Figurował też znany filolog klasyczny. Dr. L. Żelazowski grał Niuńka, Nowacki grzecznego amanta, Roman aktora, matkę — Gostyńska. Nikt z nich już nie żyje, ani Pawlikowski, ani aktorzy, ani prototypy, a Kawecki, jak był młody, tak i dziś rad jest ze swego dramatu.

Ten „dramat" jego na scenie nieco postarzał. Był w swoim czasie młody, póki Młoda Polska literacka była młoda. Kalina był lwowskiem echem Krakowa. Kraków Przybyszewskiego tak pił, że Lwów miał czkawkę. W „Dramacie Kaliny" we wszystkich aktach wszyscy są pijani, a ze stołu w ubogim domu literata nie schodzi wódka. Do białego rana brać artystyczna pije wódkę w kawiarni Sznejdra, a z tej ratafji i rosolisów ma się urodzić wielka sztuka Kaliny. Nic tedy dziwnego, że jedyna osoba trzeźwa w tym domu, żona Kaliny, przeklina literaturę i drze męża za łeb.

To jest jego dramat. I dramatyczne to było w czasach Młodej Polski Przybyszewskiego, kiedy zagadnieniem mistycznem było, co jest sekretem twórczości — chuć czy wódka. Sympatje publiczności były wtedy po stronie Kaliny. Po 30 latach dało się odczuć na sali, że sympatje są po stronie żony. Mam wrażenie, że Kawecki sam, choć „młodopolak", przyznawał słuszność raczej żonie. Chodziło jej niby o to, że mąż nie zarobkuje, ale czyż autor mógł przed nią ukryć to, co my widzimy, że Kalina jest kabotynem.

„Dramat Kaliny" stracił też na wiarogodności. Trudno sobie dziś wyobrazić, żeby marzenia o sztuce mogły kiedykolwiek gdziekolwiek rodzić się w warunkach tak ordynarnej nieschludności duchowej. Dulszczyzna podniesiona do potęgi lwowskiego „batiarstwa".

Trzeba to grać po lwowsku. Niestety, nie wszyscy aktorzy znają dawny Lwów. Prawdziwym akcentem lwowskim wzruszyła jedynie p. Zofja Czaplińska artystka z czasów Pawlikowskiego, potem (służąca) p. Peszyńska. Dobry był Kurnakowicz (Kalina). ale lwowianinem nie był. Fertner jest interregjonalny. Roland utrafił typ. Dwie córki p. Czaplińskiej były warszawiankami, ale nie podobne do siebie: p. Różańska grała za ostro. Wszyscy byli dobrzy pp.: i Samborski i Hnydziński i Nałkowski i Rapacki. Naogół jednak rzecz przestudjowana powierzchownie. Należałoby zrobić przed premjerą wizję lokalną, jak to robi teraz sąd krakowski: do Lwowa pojechać.

Zacierają się znamiona regjonalne w literaturze. Fredro lepiej się prezentuje we Lwowie, niż w Warszawie; ale Kawecki, który się przecież zrzekł klasycyzmu, tylko we Lwowie jest całkowity.

Czemu to pouciekało ze Lwowa!

Z. W.

FILM

CASINO: „Każdemu wolno kochać" reż. Krawicz i Warnecki.

Komedja, a raczej farsa, utrzymana w tym samym typie, co i poprzednie. Pewien postęp zaznacza się, najwyraźniej, zmniejszeniem porcji szmoncesów, zredukowanych jakoby do *minimum* (czy niezbędnego?), dalej, w znacznie oględniejszem szafowaniu szarżą i trywialnością. Błędem ważnym jest niezdecydowanie zasadniczego tonu całości. Farsa może mieć zabarwienie realistyczne, dając np. typy aktualnie śmieszne, w groteskowem ujęciu, lub, równie dobrze, komponować sylwetki stylowe, nie oparte na pierwowzorach współczesnego nam życia.

Ku takiej właśnie sylwetce stylowej, nieco staroświeckiej, skłaniał się Maszyński, odtwarzając główną postać (oś filmu), zakochanego muzyka. Trudno jednak przypuszczać, aby — w dzisiejszej farsie — młoda i śliczna panna, przytem zamożna (kamienica!), mogła się zakochać w muzyku, ani postawnym, ani pięknym, a raczej śmiesznym z wyglądu i nadobitkę stuprocentowym niedołędze. Szanse tej możliwości, w oczach widza, zmniejszają się wskutek zupełnie odmiennego potraktowania swych ról przez resztę aktorów, motodą groteski współczesnego kabaretu. Na podobnem tle, sympatyczny i sentymentalny muzyk, z bujną czupryną i artystycznym fontaziem, wygląda rzeczywiście jak warjat, gorzej: jak ciężki jołop. Farsa może nie liczyć się z naturalizmem, ale tu obowiązuje też pewna logika: na na tej samej płaszczyźnie nie należy umieszczać postaci z różnych, artystycznie, światów.

Reżyserja pokazuje kilka dobrych pomysłów na początku (reagowanie na wymysły gospodyni: ludzi, zwierząt i przedmiotów) i kilka później, pozatem, nie grzesząc inwencją, stara się utrzymać w granicach poprawności. Gorzej ze scenarjuszem: fabuła nie ma żadnego stopniowania w rozwoju intrygi i wogóle ciągłości akcji, przytem nie obfituje w dowcipne sytuacje.

Z aktorów, Dymsza dobrze obsadzony, a w roli, nieodzownej w filmach polskich, kuchty, tym razem — Zimińska. Jest to najsubtelniejsza kucharka, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

Pani Lili Zielińska wyglądała ślicznie i grała prymitywnie.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Sygietyński Antoni. Pisma krytyczne wybrane. W opracowaniu Zygmunta Szweykowskiego. Warsz. 1932. Instytut Literacki. S. 405.

Norwid Cyprjan. Poezje wybrane. Ułożył i przypisami opatrzył Miriam (Zenon Przesmycki). Z 2 port. i 2 facs. Warszawa 1933. J. Mortkowicz. S. 646.

Żeromski Stefan. Dziennik podróży. Przygotowała do druku H. Mortkowiczówna. Warsz. 1933. J. Mortkowicz.

Marynowski Zdzisław. Okręt bez kotwicy. Powieść. Gebethner i Wolff.

Strug Andrzej. Żółty krzyż. T. III. Ostatni film Ewy Evard. Geb. i Wolff.

Gollomb Józef. Klinika znachorów. Przekład z ang. J. Sujkowskiej. Geb. i W.

Srokowski Stanisław. Z dni zawieruchy dziejowej (1914 — 1918). Kraków 1933. Księg. geogr. „Orbis". S 334 i ilustr.

Zubrzycki Sas Jan prof. dr. Cieślictwo polskie. Uzupełnienie „Polskiego budownictwa drzewnego". Z rysunkami. Lwów. 1933. Nakładem autora. S. 212 in 4-o.

Pamiętnik Koła Kielczan za r. 1932. Pod redakcją Z. Wasilewskiego. Z ilustracjami. Warszawa — Kielce 1933. S. 210.

Walka z pornografją. Cykl rozpraw. Poznań 1932. Bibl. Akcji Katol. S. 38.

Ruch Literacki. Grudzień 1932. R. VII nr. 10.

OFENSYWA

MASARYK, NIE MASSARYK!

„Współczesność minie niestateczna
Lecz nie ominie przyszłość
Korektorka Wieczna".

C. K. NORWID

NA 83-LECIE urodzin prezydenta Czechosłowacji T. G. Masaryka obok hołdowniczych telegramów regentów i prezydentów znalazł się też i długi telegram Paul Boncoura zaczynający się od następujących zdań:

La France, son gouvernement et moi-même saluons avec joie votre quatre-vingt-troisième anniversaire et vos quinze ans de présidence.

Nous nous souvenons de vos longues luttes pour la liberté, dans le serein domaine de l'esprit. Ce but pur et plein d'audace, cette puissance dans la concorde, que le généreux poète Jan Kollár avait annoncés à votre peuple, vous avez connu la joie de les atteindre. Au moment ou votre pays, jeune Etat dans une vieille patrie, se trouvait devant une route nouvelle, votre exemple et votre esprit lui ont apporté une tradition, la plus pure et la moins routinière. C'est selon cet exemple qu'un peuple d'opprimés et de bannis, au lendemain de sa résurrection, n'a point cherché d'autre revanche que de vivre et a tiré de son histoire douloureuse une leçon d'union et de paix.

83 rocznica urodzin narodowej wielkości czechosłowackiego narodu znów przypomina wiecznie aktualny, a u nas dojmujący i koszmarny problem t. z. Wielkiego Człowieka, w narodzie i we współczesności. Jeszcze raz trzeba tego się dotknąć i jeszcze raz wyczerpująco przedłożyć to, co jest świeżo do przestudjowania, aby z tem zagadnieniem głębiej zapoznali się ci, którzy w niem przynajmniej orjentować się powinni. Znów bowiem cała prasa europejska zdaje sprawę i referuje książkę hrabiego Sforzy, gdzie znów na 30 stronach jesteśmy poddani najsurowszej ocenie. Ledwie się odetchnęło po styczniowym zeszycie *„Revue des deux Mondes"* i egzekucji szwajcarskiego publicysty Roberta de Traz, ledwie się tu i owdzie odparło potworne zarzuty w oskarżycielskiej książce amerykańskiej („Polska, kocioł wojenny i jej mniejszości), a tu znowu głośny publicysta i mąż stanu włoski, stale na x języków tłumaczony i jego *„Les Fréres Ennemies"*... Można sobie wyimaginować jak się irytować, pienić będzie Mierosławszczyzna, czytając to nowe: *j'accuse*, o ile oczywiście biorą jaką książkę jeszcze do ręki ci Kołłątaje, *(sic)* Małachowscy, Dekerci, Potoccy i Staszice *à rebours* na opak.

Tych zasię książek, z którymi Mierosławszczyzna popostu zamykać by się teraz w swoich kancelarjach i gabinetach powinna i wczytywać w nie od deski do deski, jest moc nieprzebrana. Przecież to problem, który ich od rana do nocy niepokoić i absorbować musi: co to Wielkość w europejskiem tego słowa znaczeniu? dlaczego Europa nie zgadza się na sanacyjną koncepcję Wielkości? dlaczego każde w obcym języku drukowane uznanie dla tej koncepcji musi być przepłacane (często w dolarowej walucie!) tak jak bywa przepłacane uznanie dla koncepcyj tureckich, żydowskich, bałkańskich, wenezuelsko-peruwiańskich, podczas gdy *hommagia* dla niesanacyjnej koncepcji Wielkości piszą się *sua sponte*, często *gratis*, a zawsze rozchodzą i nie zalegają magazynów i piwnic. Mierosławszczyzna musi się przecież zastanawiać nad tą zagadką i szaradą! Czyżby uważała przemilczanie za komplot, za *conspiration de silence* całej ludzkości? Przecież jakieś rozwiązanie tej krzyżówki też być musi. Przecież wtajemniczeni wiedzą doskonale, ile ważył i zaważył taki występ lorda protektora *of Germany* i jak kompromitująco „spalił na panewce". Dlaczego więc dalej, jeżeli nie entuzjazmują się nami i naszym kultem ostatnie niedobitki zamierającego demoliberalizmu (de Traz, Boncour, Amerykanie, Anglicy, Francuzi) dlaczegoż, w takim razie, niemieccy hitlerowcy a nie nasi „Nazi", nasi *Koszer-Nazi* zyskali sobie aplauzy ideologów faszystowskich? Czemuż to lodowato traktuje nasze wielkości równocześnie i prasa faszystowska i *conte* Sforza, i cały obóz katolicki i cała masonerja?

Otóż, aby tę „krzyżówkę" jakoś jednak rozwiązać, trzeba koniecznie więcej poznać, co ten świat, ten Zachód, ta Europa rozumie, co sobie myśli przy terminie: Wielkość, oczywiście polityczno-historyczna.

Pomocne w tem dochodzeniu czy podchodzeniu do prawdy byłoby i dwutomowe niemieckie, niestety przez profesorów uniwersytetu tylko pisane dzieło pt.: *„Menschen, die Geschichte machen"* i równocześnie francuska kolekcja monografij *„Les Constructeurs"* (Rue Bonaparte 92). Jeśli nie konwenjuje im tom ambasadora de Saint Aulaire, to jako anglomanie (z łaski Sokołowa), niech nasi Mierosławczycy wezmą książkę Belloca o Richelieum, niezrażając się, że to pisze katolik i antysemita. Jeżeli teraz chcą wiedzieć, dlaczego nawet bohatarzy narodowi ale typu Garibaldi, nie nadają się najstanowczej na budowniczych (*batsseur*) i konstruktorów państwowej maszyny, to niechże znów przestudjują „Cavoura", którego ostatnio zmonografowali, już po Paleologue'u, Matter i Włoch Pauzini. Ale Cavour to tylko marny cywil, obciążony nadto swym demoliberalizmem, autor aforyzmu że „lepsza najgorsza izba od najlepszej „antyszambry"," więc może nie odpowiada naszym wilhelmistom, gdyż ich obchodzi tylko *„Führer"* (wódz) *il duce, commanding man*. Zgoda. Na to jest świeżo z maszyny znakomitego Henri Bordeaux (książkę o nim napisał F. Strowski): *„Joffre ou l'art de commander"* (Grasset). Nie znosili podobno Foch'a, i fochy mu stroili, jakoże przeciętny sobie strategik i Kijowaby jednak nie zdobył! więc mają marszałka wskromnym, prostym, głęboko i wszechstronnie kształconym „milczku", i jeszcze cały rozdział w książce Maurrasa o czterech wodzach *„La Quadrilatère"* (Gallieni, Mangin, Joffre, Foch). Jeżeli zaś im to jeszcze mało i o z a m a ł y c h w porównaniu do ich lokalnej koncepcji wielkości ponadplanetarnej, na to tegoż samego Maurrasa (rojalisty) mają świeżutki tom o samym prototypie, o Napoleonie, poprzedniej inkarnacji (przewcieleniu) Aleksandra Macedońskiego.

Jest tedy w czem wybierać, żeby się było poinformowanym i wtajemniczonym, w czem też to ci Europejczykowie dopatrują się wielkości wieczystej, nierelatywnej, immanentnej, a dlaczego znowu tacy gracze i majstrowie jak Bülow, Lloyd George, Briand, Waldemaras, Rivera, generałowie greccy, brazylijscy, chilijscy mogą być nawet wielkościami permanennemi, atoli do historji przechodzą, jako olbrzymy, ale z pośród Liliputanów. Kryterjum wielkości politycznej omal jedyne jest to, czy po zlikwidowaniu wielkości przez Boga lub przez ludzi, państwo przez wielkiego konstruktora budowane w tymże samym kształcie ostoi się, czy się nie ostoi. Jeżeli się ostoi, to znaczy, że n a r ó d odchował się państwowo zdrów i mocny. Nie ostoi, to znaczy, że architekt był jeszcze gorszy od materjału, był fuszer i Fouché z ducha, dyletant, rozdęty balon, przechodzeń, względnie dopust Boży.

Z prezydenta Masaryka Czesi i Słowacy już teraz mogą być dumni. Mieli szczęśliwą rękę. W kierunku dynamicznej wojowniczości i kultury militarystycznej jako naród mieszczańsko-chłopski może nie zbyt zrobili postępów, ale też i nie przyczynili się do stabilizacji militaryzmu i do unifikacji swych sąsiadów. A właśnie ostatnia książka Maurrasa dowodzi Francuzom czarno na białem, jak to właśnie napoleonizm zjednoczył w jeden blok rozproszkowane Niemcy, jak to wyssał najżywotniejsze soki z organizmu francuskiego, jak uszczuplił terytorjum i jak spaczył i przeinaczył psychę gallijską, jaką był klęską, szkodą, kataklizmem, dopustem Bożym na Francję! Tak dziś interpretuje legendę wielkiego cesarstwa bardzo poważnie myślący historjozof-publicysta. Cóż dopiero parodje bonapartyzmu, nie kwalifikujące się na eksport i na rynkach zagranicznych nie notowane bez kolosalnego i kosztownego dumpingu.

Przydałoby się, gdyby nasza „Elita" *(sic!)* cokolwiek zapoznała się i z życiorysem Masaryka. Narazie dobrze by już było, gdyby przynajmniej poprawnie pisała jego nazwisko, to znaczy nie Massaryk a Masaryk. Na usprawiedliwienie tej nieortograficzności mają Mierosławczycy to tylko jedno, że do niedawna i nazwisko jednego z naszych własnych bohaterów narodowych zawsze pisali i drukowali błędnie: Pułaski, gdzie miało być Pułaski...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dawidek nie boi się Goljatów: ma swoje tradycje i sposoby, Czy jednak stąd wynika, że Goljat ma ciągle bać się Dawidka?

*

Wojna Bebeków z młodzieżą takie robi wrażenie, jakby pochodziła z zawiści ludzi domowego wykształcenia względem tych, którzy usiłują się wykwalifikować.

*

Podobno jednak klub BB ma wystąpić z wnioskiem, aby system dokształcania więźniów był uzupełniony wykładami uniwersyteckiemi. Nowela ta pozostawałaby w związku z reformą ustroju uniwersytetów.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.